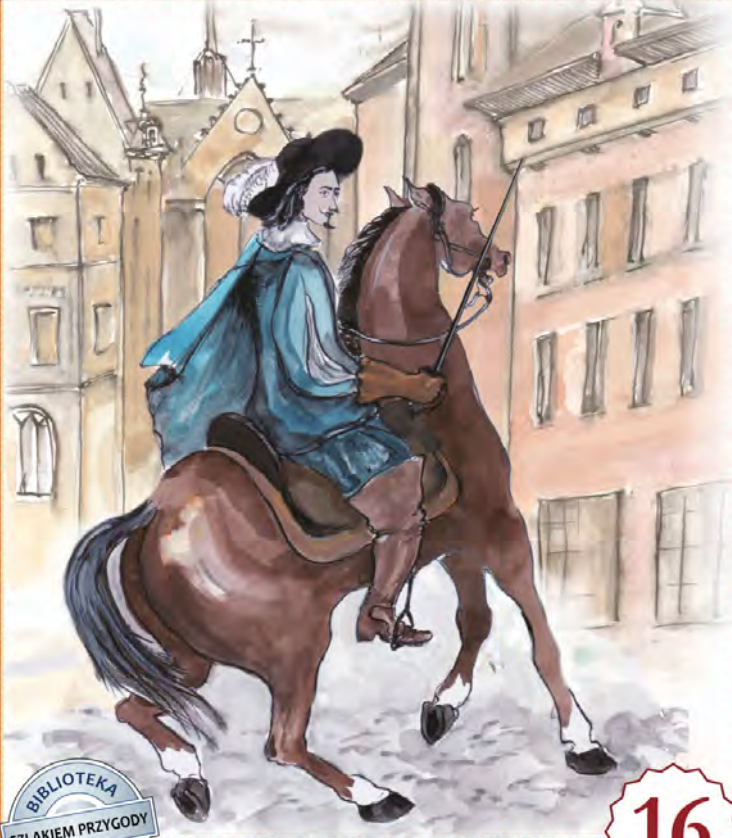




Michel Zévaco  
**FANFARON**

Tom 1



16

ISBN 978-83-65753-64-9 (całość)  
ISBN 978-83-65753-65-6 (tom pierwszy)



**Michel Zévaco**

**FANFARON**



Michel Zévaco urodził się 1 lutego 1860 roku w Ajaccio na Korsyce. Swoje chłopięce lata spędził w internacie, w 1878 roku zdał maturę. Następne cztery lata spędził w wojsku, którego szeregi opuścił jako podporucznik dragonów. W lipcu 1886 zamieszkał w Paryżu.

Zafascynowany literaturą i polityką, został dziennikarzem, potem sekretarzem redakcji pisma „L'Égalité”, kierowanym wówczas przez rewolucjonizującego socjalistę, Jules'a Roques. W 1889 roku Zévaco wystartował z Ligi Socjalistów – bez powodzenia – w wyborach parlamentarnych. Z powodu zjadliwości swych wypowiedzi w okresie nasilonych zamachów anarchistycznych został kilkakrotnie skazany na pobyt w więzieniu Sainte-Pelagie, np. za „nawoływanie do zabójstwa” w 1890 roku, a także w 1892 za wypowiedź na zgromadzeniu publicznym w Paryżu: „Burzuje zabijają nas głodem; kradnijmy, zabijajmy, wysadzajmy dynamitem; wszystkie środki są dobre, by uwolnić nas od takiego gnicia”.

W roku 1900 Zévaco porzucił dziennikarstwo polityczne, by poświęcić się pisaniu powieści odcinkowych. W tej nowej roli zadebiutował powieścią *Borgia!*, opublikowaną w „La Petite République Socialiste”. Po sukcesie tego utworu stworzył dla tego samego dziennika cieszącego się popularnością bohatera, Pardaillana.

W 1905 roku związał się z dziennikiem „Le Matin”, dzięki któremu stał się wiodącym pisarzem, stawianym na równi z Gastonem Leroux. W latach 1905-1918 „Le Matin” opublikowało dziewięć powieści odcinkowych, z których *Fanfaron* i seria o Pardaillanach były namiętnie czytane przez młodego Jean-Paula Sartre'a. Powieści te równolegle wydało Wydawnictwo Fayarda w swojej serii „Książka Popularna”.

Trzeba zaznaczyć, że Zévaco nie porzucił zupełnie dziennikarstwa. Jego nazwisko pojawia się na listach współpracowników literackich dziennika „L'Humanité”.

Podczas I wojny światowej opuścił Pierrefonds, gdzie żył od końca XIX wieku, by zamieszkać w schronisku w Eaubonne w Val-d'Oise, gdzie zmarł na raka 8 sierpnia 1918 roku.

Powieści Michela Zévaco mieszczą się głównie w gatunku literackim „płaszczka i szpada”, a ich fabuła w większości rozgrywa się we Francji w czasie XIV-XIX wieku. Żywa akcja czy ciekawe tło historyczne sprawiły, że utwory Zévaco cieszyły się wielką popularnością nie tylko we Francji, ale także we Włoszech i Rosji. Kilka z nich przeniesiono na ekrany kin.

Do najważniejszych i najlepszych powieści tego pisarza można zaliczyć złożony z dziesięciu tomów cykl Pardaillanowie oraz utwory: *Fanfaron*, *Bohaterka*, *Most wspomnień*, *Kochankowie z Werony*, *Buridan*, *Krwawa królowa*, *Nostradamus*, *Łąka kleryków*, *Piękna Florinda*, *Borgia!*. Większość z nich można łączyć w cykle, powiązanych ze sobą za sprawą postaci głównego bohatera.



**Michel Zévaco**



**FANFARON**

**Część pierwsza**

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Pięćdziesiąta czwarta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ**

Piętnasty tom serii:  
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuły oryginału angielskiego: *Le Capitan*

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2018

45 ilustracje, w tym 12 kolorowych: Jolanta Ogaza  
© Copyright for the cover and inside illustrations by Jolanta Ogaza, 2018

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Kinga Ochojska  
Projekt okładki: Barbara Linda  
Konwersja do formatów cyfrowych Mateusz Nizianty

**Wydanie I**

**© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2018**

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-65753-64-9 (całość)

ISBN 978-83-65753-65-6 (tom pierwszy)



*Szukać najryzykowniejszych  
niebezpieczeństw i przygód*

***II prawo rycerzy Okrągłego Stołu***



# Rozdział I

## *Gisella d'Angoulême*

Dziwaczny strach zaciążył nad Paryżem. Zewsząd dochodziły złowróźbne hałasy, podobne do pomruków nieba zwiastujących burzę. Od czasu do czasu gdzieś przebiegały wrzeszczące bandy, z wypisanym na twarzach buntem. Mieszczanie ostrzyli stare halabardy z czasów Ligi<sup>1</sup>. Szlachta stawiała w obronie swoich feudalnych przywilejów. Spiskował Gwizjusz, spiskował Kondeusz, spiskował Angoulême<sup>2</sup>. Luynes<sup>3</sup> chciał rządzić, także Richelieu<sup>4</sup> pragnął władzy. Tron Burbonów<sup>5</sup> chwał się i być może był bliski zawalenia.

Wobec gwałtownie szalejących ambicji, nawzajem się ścierających, w głębi opustoszonego i ponurego Luwru był tylko mały, piętnastoletni król, samotny, opuszczony, wybladły i smutny, tak jak jego lud. I podobnie jak ten lud, Ludwik XIII<sup>6</sup> drżał i zadawał sobie pytanie:

– Kto tu zostanie panem...? Gwizjusz? Kondeusz? Angoulême? Który z nich postawi nogę na mojej głowie...?

\*\*\*

Otóż lud, króla i spiskowców łączyła jedna rozległa i rozproszona nienawiść; wspólnie drżeli z przerażenia, gotowi szarpać się ze sobą, a jednocześnie kierowali wzrok na płomienną twarz człowieka, który szybował nad Luwrem, Paryżem i całym królestwem. Począwszy od króla, a skończywszy na zwykłym chamie – za wyjątkiem warg królowej matki, Marii Medycejskiej<sup>7</sup> – na wszystkich ustach pojawiało się wtedy przekleństwo. Owa twarz należała do osoby, która rozkazywała, wydawała dekryty, panowała, gnębiła i terroryzowała. Uosabiała piekielny luksus, bezgraniczną potęgę, pozbawioną wędzidła dumę, orgię... Słowem, była zbrodnią. Pojawiła się jak jeden z tych nieodgadzionych meteorów, przebiegających okresy historii i pozostawiających za sobą ślady krwi i ognia, a następnie wybuchających i gasnących pośród jakiejś niesamowitej katastrofy...

<sup>1</sup> *Liga Katolicka* (Święta Liga) – organizacja założona we Francji przez ród Gwizjuszów w 1576 roku, powołana do walki z protestanckimi hugenotami, dowodzonymi przez Henryka IV, króla Nawarry; wspierana przez Hiszpanów i Państwo Kościelne, opanowała w 1588 roku Paryż, zmuszając króla Henryka III Walezjusza do ucieczki; Liga rozwiązała się, gdy Henryk IV w 1593 roku przeszedł na katolicyzm.

<sup>2</sup> *Gwizjusz* (fr. Guise) – tu: Karol Lotaryński, czwarty książę de Guise (1571-1640); Gwizjusze – francuski ród książęcy, młodsza linia książąt lotaryńskich; *Kondeusz* (fr. de Condé) – tu: Henryk Burbon, książę de Condé (1588-1646); *Kondeusze* – francuski ród arystokratyczny, spokrewniony z królewską dynastią Burbonów, którego przedstawiciele odgrywali znaczącą rolę we Francji w XVI i XVII wieku; Karol de Valois-Angoulême, książę *d'Angoulême* (1573-1650) – nieślubny syn króla Karola IX i jego kochanki, Marii Touchet; ulubieniec króla Henryka III.

<sup>3</sup> Charles d'Albert de *Luynes* (1578-1621) – faworyt króla Francji, Ludwika XIII, mianowany parem oraz konetabblem Francji.

<sup>4</sup> Armand Jean du Plessis de *Richelieu*, książę (1585-1642) – francuski kardynał, mąż stanu.

<sup>5</sup> Burbonowie (fr. Bourbon) – francuska dynastia; starsza linia Burbonów (książęca) wymarła w 1527 roku; młodsza linia, Bourbon de Vendôme, panowała we Francji w latach 1589-1792 i 1814-1830, a linia orleańska w latach 1830-1848.

<sup>6</sup> *Ludwik XIII* (fr. Louis XIII), zwany Sprawiedliwym (1601-1643) – król Francji i Nawarry (jako Ludwik II) od 1610 roku, syn Henryka IV z dynastii Burbonów; w chwili śmierci ojca miał tylko dziewięć lat, więc do czasu pełnoletniości realne rządy regencyjne sprawowała jego matka Maria Medycejska; panowanie Ludwika XIII przebiegało w cieniu rządów kardynała Richelieu, który stał się właściwym twórcą systemu rządów absolutnych i którego historycy uważają za główną postać przywódczą tego czasu.

<sup>7</sup> *Maria Medycejska*, (wł. Maria de Medici, 1575-1642) – królowa Francji z rodu włoskich Medyceuszy, druga żona Henryka IV (od 1600 roku); sprawowała regencję w okresie małoletniości syna, Ludwika XIII.

Tym człowiekiem był Concino Concini<sup>8</sup>...  
Kochanek królowej!

\*\*\*

Był ranek piątego sierpnia owego 1616 roku...

Przy ulicy Tournon stał pałac wyglądający na królewską fortecę, z dziedzińcem pełnym żołnierzy, ze wspaniałymi przedpokojami zatłoczonymi dworzanami, z monumentalnymi schodami, gdzie rzędami ustawieni byli lokaje w szamerowanych liberiach. Była to rezydencja Concino Concini, gubernatora Normandii, markiza d'Ancre, marszałka Francji i pierwszego ministra Ludwika XIII...

Gabinet audiencyjny, obszerne pomieszczenie, przyozdobione arcydziełami francuskiej i włoskiej sztuki: obrazami, meblami, marmurami i brązami. Pośrodku stał Concini!

Średniego wzrostu, silny, muskularny, o rzadko spotykanej wytwornej elegancji. Na jego pięknej twarzy świeciły kocie oczy, czasami wyrażające dziwną słodycz, czasami ciskające błyskawice. Zuchwałe i niespokojne oblicze znamionowało wielkiego awanturnika. Być może w tej dumnej postawie i prędkich ruchach drgała dusza Nerona, czy też Cezara Borgii<sup>9</sup>.

Pochylony Concini rozmawiał z człowiekiem, który na w pół zgięty, słuchał go z wielką uwagą. Podczas gdy w tłumie petentów zadawano sobie pytanie, co szykuje się za drzwiami gabinetu, jaką uroczystością wszechwładny mistrz zechce porazić Paryż lub jakim nowym podatkiem go zdruzgotce, oto co Concini mówił stłumionym głosem:

– Nienawiść – tak, Rinaldo, to jest to coś! Odczuwam ją do szpiku kości. Tak, nienawidzę aż do potępienia tego księcia d'Angoulême. Inni, czyli Gwizjusze, Kondeusze, to nic innego jak tałatajstwo żadne zaszczytów i pieniędzy. Ten jeden jest straszliwie groźnym przeciwnikiem. Zabiję go albo on mnie zabije! Rinaldo, oddałbym dziesięć lat mego życia, by dorwać księcia d'Angoulême i własnymi rękoma wyrwać mu serce, ale...

– Posuń się dalej, Wasza Wysokość! – mężczyzna zaśmiał się szyderczo, obnażając swój beczelny, a jednocześnie uniżony stosunek względem poufałości, jaka łączyła go z władcą.

– Ale nienawiść – ciągnął dalej Concini podnieconym głosem – ta nienawiść, jaką odczuwam do księcia d'Angoulême, no cóż, ona zniknie, gdy przemówi we mnie miłość! Słyszysz?! Muszę mieć tę dziewczynę! Majątek, honor, potęga, nienawiść – nic z tego nie pozostaje, kiedy w mojej duszy ukazuje się obraz Giselli. Rinaldo, ja umrę, jeżeli Gisella nie będzie moja. Rinaldo, namiętność pali mi krew, rozdziera serce, namiętność zawładnęła moim umysłem...

– Cierpliwości, Wasza Wysokość, odnajdziemy tę Gisellę!

– Och, gdybym był tego pewny! Gdybym tylko mógł mieć nadzieję! Rinaldo, jeśli ty ją odnajdziesz, dam ci pieniądze, złoto, stanowisko, wszystko, czego będziesz chciał...! Kim ona może być? Niechybnie pochodzi ze znakomitej rodziny, ale z jakiej...?

– Dowiemy się tego, Wasza Wysokość. Powtarzam, trochę cierpliwości.

– Ach! – warknął Concini, czyniąc przy tym gwałtowny gest. – Widziałem ją tylko przełotnie! Znam tylko jej imię, Gisella, to uwielbiane imię, które bełkoczę, płacząc podczas długich bezsennych nocy...! Chcę, słyszysz, chcę wiedzieć, kim ona jest, chcę, byś ją odnalazł! Biegnij, szukaj, wydawaj pieniądze, nie licząc się z groszem, roześlij po Paryżu tysiące

<sup>8</sup> *Concino Concini* (1575-1617) – włoski arystokrata i polityk, faworyt królowej Francji Marii Medycejskiej, który odegrał znaczącą rolę polityczną w okresie małoletniości króla Ludwika XIII.

<sup>9</sup> *Neron* (37-68) – cesarz rzymski od 54 roku, syn Agrypiny Młodszej; w 64 roku po pożarze Rzymu wszczął pierwsze prześladowania chrześcijan; popełnił samobójstwo; *Cezar Borgia* (właściwie Cesare Borgia, 1475-1507) – syn kardynała Rodrigo Borgii (późniejszego papieża Aleksandra VI), kardynał, później włoski polityk i kondotier, książę Romani.

szpiegów. Idź, mój Rinaldo, i powróć dopiero wówczas, gdy będziesz mógł do mnie zawołać: „Żyj, bądź dobrej myśli, kochaj, Gisella odnaleziona!”

– Zgoda, Wasza Wysokość. Podsumowuję twoje żądania. Odnośnie nienawiści: upewnić się, czy książę d'Angoulême, jak powiadają, miał odwagę wrócić do Paryża, a w takim razie przygotować na niego dobrą pułapkę. Odnośnie miłości: rozpocząć kampanię w celu znalezienia naszej pięknej nieznajomej, mając jedną wskazówkę, czyli jej imię, Gisella.

– Odnajdź ją, Rinaldo, odnajdź ją! Zrobię cię hrabią!

Rinaldo skłonił się aż do samej ziemi.

– Wasza Wysokość – odparł zimnym tonem. – Twoja Gisella zostanie odnaleziona, przysięgam to w imię szlacheckiego tytułu, jaki mi przed chwilą nadałeś!

Concini zbladł. Położył rękę na sercu i drgnął gwałtownie, wstrząśnięty mocnym dreszczem.

Rinaldo oddalił się. Na pałacowym dziedzińcu dosiadł konia i jadąc, szyderczym tonem mruczał do siebie:

– Do licha! Założyłbym się o mój całkiem nowy tytuł szlachecki, że to ją widziałem wczoraj w okolicy Meudon!<sup>10</sup> Lecz, do diabła, muszę być tego pewny! Gdybym Conciniemu dał fałszywą radość... Znam mego wspaniałego mistrza, zrobiłby mnie hrabią Bastylli<sup>11</sup> i pozwoliłby mi gnić w moim hrabstwie! Dalej, ruszajmy do Meudon!

\*\*\*

W Meudon za ostatnimi domami wioski znajdował się stary, opuszczony, zarosnięty dziką roślinnością park. Przy ogrodzeniu stał osiodłany kasztanek, którego trzymał za uzdę stary służący. Do konia zbliżała się dziewczyna, wsparta na ramieniu człowieka o dumnej postawie, z siwymi skroniami, z twarzą bladą tą bladością właściwą ludziom, którzy długo przebywali w lochu, ale też pełną żywotnej energii; człowieka jeszcze młodego, wyglądającego zaledwie na czterdzieści lat.

Młoda dziewczyna ze śmiałą gracją nosiła ubranie amazonki z niebieskiego aksamitu. Piękna blondynka należała do tego rodzaju piękności, które zdumiewają, bulwersują i wzbudzają piorunujące namietności. To, co jednak uderzało czy czarowało bardziej od szlachetności wysokiego czoła, wspaniałych włosów, głębokiego lazuru oczu, harmonijnego kroju ubioru i ciała, co nadawało tej piękności wyjątkowy, osobisty charakter, to pełna dostojeństwa postawa, to ujmująca szczerość spojrzenia, to nieustrasżoność duszy, ukazujące się w każdym jej geście, każdym słowie, w całej jej postaci.

– Do zobaczenia, mój ojciec – powiedziała młoda panna, zatrzymując się przy ogrodzeniu.

– Do widzenia, moje drogie dziecko – odparł szlachcic, ściskając ją w ramionach. – Co by się ze mną stało, gdyby ciebie tu nie było, moja piękna wojowniczo, krew z krwi mojej! Jeśli los osadzi mnie wreszcie na tym tronie, który Burbonowie ukradli memu rodowi, to panowanie swoje będę zawdzięczał tylko tobie. Ty jesteś prawdziwą Walezjuszką<sup>12</sup>, szlachetną i dzielną posłanniczką, moja ukochana Gisello! Nigdy nie zsiadasz z konia, narażając się tym na tysiące niebezpieczeństw! Zaledwie wczoraj powróciłaś z Orleanu<sup>13</sup>, skąd przywiozłaś mi ważne papiery, a dzisiaj znowu wyruszasz w drogę!

<sup>10</sup> *Meudon* – miejscowość i gmina we Francji, w regionie Île-de-France, w departamencie Hauts-de-Seine.

<sup>11</sup> *Bastyllia* – forteca w Paryżu, wybudowana w II połowie XVI wieku, za panowania Ludwika XIV przekształcona w więzienie; zdobita 14 lipca 1789 roku przez lud Paryża; rozebrana.

<sup>12</sup> *Walezjusze* (fr. Valois) – dynastia francuskich królów panujących w latach 1328-1589; jej założycielem był Karol de Valois, ojciec Filipa VI i syn Filipa III Śmiałego; dynastia była boczną linią dynastii Kapetyngów.

<sup>13</sup> *Orlean* (fr. Orléans) – miasto i gmina w środkowej Francji, położone nad Loarą, stolica Regionu Centralnego i departamentu Loiret.

– Wspaniale! – zawołała wesoło ta, którą nazwano Gisellą. – Powiedz, że jestem rajtarem i więcej o tym nie mówmy. Zresztą dzisiejsza podróż nie jest taka straszna, zaledwie do wioski Wersal<sup>14</sup>... Wieczorem będę tu z powrotem... Poza tym mam kogo naśladować, skoro jestem wnuczką Karola IX<sup>15</sup> i córką Karola, księcia d'Angoulême.

– Dzisiaj wieczorem! – zauważył Angoulême, którego czoło zachmurzyło się, a oczy zaiskrzyły. – Dzisiaj wieczorem! To właśnie tego wieczora w tej ubogiej wiosce ma odbyć się zgromadzenie przywódców! To dzisiejszego wieczora rozstrzygnie się mój los! To dzisiaj wieczorem delegaci francuskiej szlachty wybiorą między Gwizjuszem, Kondeuszem i mną! Co wyniknie z tego zgromadzenia, Gisello?! Król! Być królem...! Jaka chwała i jakie upojenie...! Gdyby jednak nie mnie wybrali, gdyby ode mnie woleli tego chamskiego intryganta Gwizjusza lub skąpego Kondeusza... Och, umarłbym ze wstydu!

Piękne oczy Giselli przysłoniła melancholijna mgła. Szepnęła niespokojnym głosem:

– Niestety! Kto wie, dokąd zaprowadzą cię te wygórowane ambicje! Ach, mój ojcze, gdybyś chciał się zrzec...

– Nigdy! – przerwał szorstko książe d'Angoulême.

– Na Boga! Bądź przynajmniej ostrożny! Widziano cię w Paryżu! Drzę ze strachu, mój ojcze! Jeżeli jest w Paryżu pałac przyciągający cię z siłą magnesu, nazywany Luvrem, jest tam również forteca, która omal nie stała się twoim grobem...!

– Bastylia! – szepnął szlachcic, dygocząc, a jego wargi skurczył uśmiech straszliwej goryczy. – Bastylia! Nigdy do niej nie powrócę, bądź spokojna. Zbyt wiele tam przecierpiałem, a jeżeli zostaną schwytany, odbiorę sobie życie...! Uspokój się jednak, moje dziecko. Zostały podjęte wszelkie środki ostrożności. Zwycięzę. Gdy zostanę królem, pierwszym moim czynem będzie gest nieubłaganej sprawiedliwości... Wiesz, przeciwko komu, skoro ty sama też go nienawidzisz!

Ciałem Giselli wstrząsnął dreszcz. Poblady jej usta, ale rysy wyrażały niesamowitą energię. W tej chwili była podobna do tych wojowniczek z dawnych czasów, które swymi wątlymi rękoma zadawały wrogom ciosy toporem.

– Tak, pogardzam, ze wszystkich moich sił nienawidzę człowieka, który tyle złego wyrządził mojej matce! – potwierdziła. – Tak, chcę, żeby matka została pomszczona! Tak, właśnie dlatego ci pomagam, mój ojcze! Byłoby zaprzeczeniem wszelkiej sprawiedliwości w niebie i na ziemi, gdyby Concini nie został ukarany za swoją nikczemność!

– Bądź spokojna! – odparł książe straszliwym tonem.

W tej chwili za ogrodzeniem parku jakiś człowiek pod ochroną zarośli skradał się, czołgając od kępy do kępy, zbliżał... Jego żarłoczne spojrzenie spoczęło na Giselli... Osobnik zadrzał z niesamowitej radości i zamruczał pod nosem:

– To ona! Tym razem nie mam żadnych wątpliwości! To na pewno nasza nieznajoma... Już ją mam!

Tym człowiekiem był Rinaldo, przeklęta dusza Conciniego!

– Bądź spokojna, zbliża się godzina zemsty – ciągnął dalej książe. – Jeśli ty mi pomagasz z całego swego dzielnego serca, to wkrótce, może jutro albo jeszcze dzisiaj wieczorem, będzie mnie wspomagał jeszcze ktoś, na kogo oczekuję... Gisello, czekam na młodzieńca,

<sup>14</sup> Wersal (fr. Versailles) – miejscowość i gmina we Francji, w regionie Île-de-France, w departamencie Yvelines, w której położony jest słynny zespół pałacowy, od 1682 roku miejsce rezydencji królów francuskich.

<sup>15</sup> Karol IX (fr. Charles IX, 1550-1574) – z dynastii Walezjusów, książę Orleanu jako Karol Maksymilian, później król Francji w latach 1560-1574; syn króla Henryka II i Katarzyny Medycejskiej, młodszy brat Franciszka II (1559-1560), po którego śmierci objął tron francuski; starszy brat Henryka III (1574-1589).

pięknego jak Achilles<sup>16</sup>, nieustraszonego jak Ajaks<sup>17</sup>, szlachetnego jak Walezjusz... O jego przybyciu zawiadomił mnie ojciec tego młodego człowieka... Musiał przejeżdżać przez Orlean i podobnie jak ty wczoraj, przez Étampes i Longjumeau.

– Longjumeau! – wymamrotała dziewczyna, a gorący czerwony rumieniec pokrył jej czoło.

Ojciec dostrzegł ten pąs, to nagle zakłopotanie. Poczuł, jak w jego ramionach drży ciało córki... Serce jego zaczęło mocniej bić w cichej nadziei.

– Och, czyżbyś go spotkała? – spytał wzruszony. – Czy Bóg zesłał mi tę największą radość, sprawiając, że go dostrzegłaś?! Mów, moja droga Gisello! Och, gdybyś wiedziała...

– No cóż, mój ojczu, w Longjumeau zauważyłam i zwróciłam uwagę na młodego mężczyznę...

– Mającego mniej więcej dwadzieścia lat, nieprawdaż? O dumnej powierzchowności i męstwie wypisanym na czole, czyż nie tak?

– Tak... tak... – wyjąkała Gisella.

– Jeszcze jedno słowo, droga córko. Ten, którego oczekuję, nosi szaroperłowy, aksamitny strój.

Z ust młodej dziewczyny wydarł się lekki okrzyk i cała dygocząc, potwierdziła:

– Tak, ojczu!

– Jestem uratowany! Chwała Bogu! Spotkałaś markiza de Cinq-Marsa<sup>18</sup> i zwrócił on twoją uwagę... To jemu cię przeznaczałem! Teraz jestem uratowany! Została usunięta ostatnia przeszkoda! O nic mnie nie pytaj! Później dowiesz się, w jaki sposób twój związek z markizem de Cinq-Mars mnie uratuje i zapewni mi tryumf... Chyba zgadzasz się na ten związek, czyż nie tak...? Przecież go kochasz...!

– Widziałam tego młodego człowieka tylko przez chwilę... – wyszeptła Gisella, głęboko oddychając. – Nawet nie wiedziałam, że nazywa się...

– Cinq-Mars! Henri, markiz de Cinq-Mars!

– Henryk! Ma na imię Henri...! – mamrotała w duchu młoda dziewczyna, a głośno dodała: – Wszystko, co mogę ci powiedzieć, ojczu, że życzyłabym sobie, żeby człowiek, którego nazwisko będę nosiła, był podobny do tego, którego zobaczyłam!

Książę d'Angoulême wydał okrzyk wielkiej radości. Gisella wyrwała się z jego objęć, wskoczyła lekko na konia, wyjechała za ogrodzenie i już z daleka zawołała:

– Za godzinę będę w Wersalu. Poczekam na tych, o których wiesz. Powrócę dziś wieczorem. A zatem do wieczora, mój ojczu!

– Do wieczora! – zawołał z uniesieniem spiskowiec. – Jeśli w Wersalu spotka Gwizjusza i Kondeusza i sprowadzi ich tu na zebranie dzisiejszego wieczora zostaną wybrani na króla! Stanie się tak, ponieważ teraz wszelkie wpływy ojca de Cinq-Marsa będą mi sprzyjały! Dziś wieczorem!

---

<sup>16</sup> Achilles – heros, czczony w niektórych rejonach Grecji; najdzielniejszy z Greków walczących pod Troją, syn Peleusa i Tetydy, zabójca Hektora; jako niemowlę został obmyty przez Tetydę w wodach Styksu, co uczyniło go odpornym na ciosy; przez nieuwagę matki wraziła pozostała jednak pięta (tzw. pięta Achillea); zginął trafiony w nią strzałą Parysa; bohater *Iliady* Homera.

<sup>17</sup> Ajaks – w mitologii greckiej syn Ojleusa, uczestnik wojny trojańskiej, najszybszy po Achillesie; zabity przez Posejdona, gdy chefliwie bluźnił przeciw bogom, dopłynąwszy jako rozbitek do brzegu.

<sup>18</sup> Henri Coiffier de Ruzé, markiz de *Cinq-Mars* (1620-1642) – faworyt Ludwika XIII Burbona, króla Francji; zawiązał i stanął na czele ostatniego i najbliższego osiągnięcia sukcesu, spisku przeciw wszechmocącemu ministrowi króla, kardynałowi Richelieu; w roku 1616, w którym toczy się akcja powieści, jeszcze nie było go na świecie.

Upojony radością, zmierzał ku domowi, podczas gdy Gisella galopowała przez las, szepcząc cicho:

– Szaroperłowy, aksamitny ubiór... dwadzieścia lat... piękny jak Achilles... nieustraszony jak Ajaks... szlachetny jak Walezjusz... To on! To na pewno ten, którego spojrzenie tak mną wstrząsnęło w oberży w Longjumeau...! Nazywa się Henri... markiz de Cinq-Mars!





## Rozdział II

### *Leonora Galigai*<sup>19</sup>

W tym czasie Rinaldo, zaczajony w gęstych zaroślach otaczających park, wysunął się z ukrycia.

– Z kim, do diabła, ona rozmawiała? – mrucał agent Conciniego. – O czym oni mówili? Czyżby to miał być rywal? Hmm! Nie wspomnę o nim. Tylko radosne wieści dla Jego Wysokości! Jedno jest pewne: to jest nasza Gisella. Dobrze. Wołała, że jedzie do miejscowości, która nazywa się Wersal. Dobrze. Wraca dzisiaj wieczorem. Bardzo dobrze. Reszta jest rzeczą tak łatwą, jak otworzenie drzwiczek klatki i zamknięcie w niej pięknego, niebieskiego ptaszka z naszych snów!

Rinaldo wszedł do lasu, odszukał swego konia przywiązanego do drzewa, wskoczył na siodło, całym pędem pognął drogą i w południe wrócił do Paryża przez bramę Świętego Honoriusza, pędząc co koń wyskoczy przez ulice dobrego miasta Jego Królewskiej Mości Ludwika XIII w piekielnym galopie, nie zważając na okrzyki przerażenia i groźne pogroźki, jakie podniosły się po jego przejeździe. Należy powiedzieć, że jeżeli okrzyki strachu wywołane były szalonym, nieskoordynowanym biegiem spienionego, zbroczonego krwią z powodu używania stalowych ostróg konia, groźby odnosiły się bardziej do barw, jakie nosił jeździec, niż do jego osoby. Te barwy, ta liberia, jak wówczas mówiono, nie przywiązując do tego słowa znaczenia służalstwa, jakie nabrało później szerszego znaczenia, zatem ta liberia mogła być bardzo zniechęcona przez paryżan; widok jej bez wątpienia budził w sercach ciężkie urazy, ponieważ ściagały ją ponure wejrzenia nienawiści, pięści zaciskały się i wyciągały ku górze, rozlegały się złorzeczenia i przekleństwa; gdziekolwiek się pojawiła, atmosfera wydawała się napelniona terrorem i strachem, jak nieraz podczas letnich wieczorów ciemny horyzont nagle zaciąga się burzowymi chmurami... Za chwilę błyskawica rozedrze czarne niebo... Wkrótce uderzy piorun... Wszystko się dokonało: cała wymowa będzie w grzmocie.

Mocno zdyszany, prawie ochwacony koń zatrzymał się wreszcie na ulicy Tournon przed pałacem Conciniego, położonym pośrodku przedmieściu Saint-Germain, o kilka kroków od ulicy Vaugirard, gdzie rozciągały się ogrody księcia Luksemburskiego, w miejscu, na którym królowa Maria Medycejska kazała wówczas wznosić wspaniały pałac.

Rinaldo wszedł na schody, bezceremonialnie rozpychając tłum dworaków i interesantów, ustępujących mu pokornie z drogi, i mocno zdyszany, cały okryty kurzem, bez żenady otworzył drzwi gabinetu, w którym marszałek d'Ancre, siedząc przy dużym stole inkrustowanym cyzelowanym srebrem, składał swój podpis u dołu leżących przed nim pergaminów.

Ujrzawszy Rinalda, Concini zerwał się z siedzenia i wzruszonym, rozpalonym przez namiętność głosem wykrzyknął:

– Ty, Rinaldo! Ty już tutaj! Przynosisz mi miłość czy rozpacz, życie lub śmierć? Odnalazłeś ją? Och, mów, mów prędko!

– Dziewczyna została odnaleziona! – odparł Rinaldo.

<sup>19</sup> Leonora Dori, zwana *Galigai* (1571-1617) – faworyta Marii Medycejskiej w okresie jej regencji na tronie Francji, żona Concino Conciniego; służąca Marii Medycejskiej, w której łaski wkupiła się pochlebstwami, co m.in. doprowadziło do sukcesu politycznego męża Leonory; po przewrocie z kwietnia 1617 roku, kiedy zamordowano Conciniego, została aresztowana i niedługo później oskarżona o praktyki magiczne; jej egzekucja poprzez ścięcie odbyła się 8 lipca 1617 roku, a następnie jej ciało spalono; w oryginale: Léonora Galigai.

Concini bardzo zbladł, zachwiał się, położył rękę na sercu i wyszeptał:

– Niech będzie błogosławiony anioł czuwający nad moim życiem, który zachował dla mnie takie szczęście! Rinaldo, mój kochany Rinaldo, żądaj ode mnie wszystkiego, co zechcesz! Pragniesz zostać hrabią, księciem, gubernatorem? Odnaleziona – czy to prawda? Czy czasem nie śnię? O, nieznaną, wielbioną przeze mnie istotą, której znam tylko imię...! Gisella! Miłe mi imię Gisella! Drogie imię, które od tyłu dni i tyłu nocy wymawiają moje wargi jak pieśczośliwy pocałunek...! Mówisz... powiedz jeszcze raz... gdzie, jak, kiedy?

– Hej! *Per Dio Santo*<sup>20</sup>! Nie mogę dojść do słowa! Do licha! Tym razem Wasza Wysokość został dokładnie zamordowany...!

Concini zsiniał. Obawa przed morderstwem była niczym drążący jego ciało rak...

– Zamordowany strzałami pana Kupidyndy. *Per bacco*<sup>21</sup>!, przyznając, że korona, zwykła korona w herbie barona nieźle wyglądałaby na drzwiach mojego mieszkania... Otworzyłeś, panie, swoją wielkoduszną rękę, a ja schylam się i zbieram okruchy twojej wspaniałomyślności.

– Zamknij się, *briccone*<sup>22</sup>! – warknął Concini.

– Już milczę, Ekscelencjo!

– Mów, gdzie ona jest?

– W Meudon, ostatni dom we wsi, na prawo, prawie na wprost oberży „Pod Sroką Złodziejką”. Ech, wielmożny panie, tym razem dobrze znaleźliśmy, niech pan słucho: znaleźliśmy sroczkę w gnieździe...

– Ruszajmy! – ryknął Concini.

– Do wszystkich diabłów, niechże pan poczeka! Co za zapach! Mamy czas, ja to mówię. Pojechała do jakiejś wioseczki, która nazywa się Wersal... Wasza Wysokość zna ten Wersal?

– Znam, znam. Co dalej? Mów prędzej, do licha!

– Co dalej? No cóż, dziś wieczorem zamierza wrócić do Meudon. Musimy więc przyciąć się przy drodze i...

– Bardzo dobrze! – burknął Concini. – Weź ze sobą Bazorges’a, Chalabre’a, Pontraille’a, Louvignaca i Montrevala. Niech będą dobrze uzbrojeni... Za godzinę wyjeżdżamy...

– Zgoda, i spokojnie zarzucimy naszą sieć – zaśmiał się szyderczo Rinaldo, a potem dodał cichym głosem. – Co powie na ten nowy kaprys szanowna prawowita małżonka wielmożnego pana?

– Leonora! – wyszeptał Concini z mimowolnym drżeniem. – Och, Rinaldo, co to za żona! To kobieta, której zazdrość oplata mnie jak siecią, w której szamoczę się jak lew schwytany w matnię. Zwłaszcza ona nie powinna o niczym wiedzieć! Ach, nawet nie powinna poznać imienia tej, którą kocham... Widzisz, ona by ją zabiła, otruła, jak zdołała otruć... wiesz... tamtą i inne! Jeżeli aqua tofana<sup>23</sup> nie pozbawiłaby Giselli życia, to sztylet Leonory rozprułby jej serce!

W tej chwili do wewnętrznych drzwi długiego korytarza łączącego pokoje marszałka z apartamentami markizy d’Ancre ktoś lekko zastukał.

– Cicho! – warknął Concini.

Drzwi otworzyły się... Na progu stanęła kobieta.

<sup>20</sup> *Per Dio Santo* (wł.) – na Świętego Boga.

<sup>21</sup> *Per bacco*! (wł.) – a niech to!; na Bachusa!

<sup>22</sup> *Briccone* (wł.) – łotr.

<sup>23</sup> *Aqua tofana* – trucizna na bazie arseniku, bezbarwna i bezsmakowa, przy ówczesnej technice kryminalistycznej nie do wykrycia; stosowana głównie we Włoszech.

Tą kobietą była małżonka Conciniego, markiza d'Ancre... Leonora Galigai!

Ten, który dwie godziny wcześniej wniknąłby do gotowalni<sup>24</sup> markizy d'Ancre, zobaczyłby ją siedzącą przed stołem zastawionym flakonikami, pędzelkami i szczoteczkami – skomplikowanymi przyborami wielkiej kokietki. Leonora jednak nie była zalotnicą. Jej głęboki, męski umysł, gardził ową wyniosłą pogardą świecidełkami i błyskotkami kobiecych strojów. Jej myśli, niby skrzydła sępa, obejmowały szerokie horyzonty, szybowały ponad małostkowymi niepokojami wstrząsającymi innymi kobietami.

Tymczasem ona była brzydka!

Nieforemna, oszpecona, z wystającą lewą łopatką, ze zbyt wielkimi ustami, źle osadzoną pionowo kibicią na niekształtnych nogach, była po prostu brzydka. Całą piękność Leonory stanowiła para lśniących inteligencją czarnych oczu, podobnych do dwóch zabłąkanych gwiazd na smutnym listopadowym niebie.

Upośledzona przez naturę, Leonora każdego ranka starała się naprawiać albo łagodzić swoją niekształtność za pomocą sztuki, którą studiowała tak, jak generał studiuje strategię. Była brzydka, zgoda! Są brzydoty nierażące brakiem harmonii. Niechże więc przynajmniej jej obecność będzie znośna dla człowieka, którego uwielbiała wyłączną i bezgraniczną miłością: dla swego męża!

Z tego względu owe wszystkie kokieteryjne popisy mogły wydawać się wzruszające. Ukryty świadek widziałby dokonane potężną wolą magiczne przeobrażenie brzydoty. Zwolna zniknęły niekształtności, wyrównywały się oba ramiona, prostowała figura, usta przybrały normalne proporcje, a w tej sprostowanej, poprawionej, odbudowanej z poszczególnych kawałków całości świeciły jeszcze słodszy blaskiem czarne oczy! Leonora była prawie piękna...!

Tego dnia, który mijał, nie będąc ani oglądaną, ani podziwianą, mimo to uważnie przejrzawszy się w ogromnym lustrze, ofiarowanym jej w hołdzie przez Republikę Wenecką<sup>25</sup>, zwróciła się do swej ulubionej służącej, jedynej osoby dopuszczonej do współuczestniczenia w tajemniczej, żmudnej pracy każdego poranka.

– Marcello – zapytała zimnym tonem. – Mówiłaś, że Rinaldo jest na tropie Giselli d'Angoulême?

– Tak powiedziałam, pani. Powtarzam, że znajdują księcia d'Angoulême i jego córkę w Meudon, w domu, który pani opisałam. Jednak nie jest jeszcze tak źle, gdyż pan marszałek na pewno nie wie, że ta, którą kocha, jest córką księcia d'Angoulême...

Służąca szpieg w dalszym ciągu wypowiadała swoje domysły i wnioski.

Leonora już jej nie słuchała. Dwie czarne gwiazdy jej oczu zasłoniły łzy, które wyparowały na rozpalonych policzkach. Rozpaczliwym gestem zaciskała swe dłonie jedną w drugiej.

– On ją kocha! To nie jest żaden kaprys! Kocha ją! A ja? Ja! Dla mnie nie ma ani jednego spojrzenia, ani jednego uśmiechu! Biada mi, ale biada także tej dziewczynie!

Szybkim krokiem skierowała się ku gabinetowi Conciniego i doszła do tajnych drzwi. Przez chwilę nasłuchiwała, a potem weszła.

Concini zbladł, a Rinaldo szybko się wymknął.

<sup>24</sup> *Gotowalnia* – używana w Polsce od połowy XVIII wieku nazwa toaletki, czyli mebla, czasem z szufladkami, nakrytego tkaniną, z nastawianym lustrem, służącego do przechowywania przyborów toaletowych, kosmetyków, ozdób itp.

<sup>25</sup> *Republika Wenecka* (Rzeczpospolita Wenecka) – północnowłoska republika kupiecka istniejąca od VIII wieku do 1797 roku, najdłużej w historii nieprzerwanie funkcjonujące państwo o ustroju republikańskim.

– Concino – powiedziała Leonora, zwracając na męża tklive wejrzenie. – Chciałam cię zobaczyć, zanim pójde do Luwru pełnić moją służbę przy królowej Marii. Właśnie wyszedł ode mnie pan de Richelieu. Udzielił mi ważnych wiadomości...

– Do czego się miesza ten bladawy księżulo? – warknął Concini, marszcząc brwi.

– Nie gniewaj się, mój Concinetto... Pan de Luçon jest nam oddany i jeszcze raz wyświadczył nam przysługę.

– Ech! Co ci mógł powiedzieć? Że mocno krzyczą na mnie, na ciebie, na przeklętych Florentczyków? Że lud się wścieka? Że nie chce więcej płacić podatków? Że wszystko obróci się przeciw nam...? Czyżbyś się bała, *cara mia*<sup>26</sup>?

– Nie boję się, Concino – odparła zimno Leonora. – Ale wiedz, że tym razem chodzi o rozległy spisek. Concino, chcąc porwać króla, strącić go z tronu, być może nawet zabić, a przy tej okazji także nas. Na czele spisku stoi człowiek, którego znasz, niebezpieczny przeciwnik...

– Jego nazwisko?

– Karol, hrabia Owernii<sup>27</sup>, książe d'Angoulême, syn Karola IX.

Concini zadrżał. Coś, jakby złowrogie przeczucie, zaciążyło mu na sercu.

– Ten – mówiła w dalszym ciągu Leonora, której twarz promieniała w odbłasku jej oczu – ten, który nosi w sercu niczym nieposkromioną ambicję, który w ciągu swego życia marzył tylko o jednym: teraz panować jako królewski syn. Syn Marii Touchet, nieślubne dziecko tego biednego królika, w chwili śmierci skapanego we własnej krwi, hrabia Owernii, książe d'Angoulême, pochodzi z dzielnego rodu, który wie, czego chce... i się odważy! Gdyby był na twoim miejscu, Concino...!

– Co takiego by zrobił? – warknął marszałek, badawczo spojrzawszy na żonę.

Leonora pochyliła się ku Conciniemu, owinęła go wyziewami swej sekretnej myśli i stłumionym głosem szepnęła:

– Byłby już królem!

Marszałek d'Ancre zadygotał i rzucił wokół siebie trwożliwe spojrzenie.

– To straszny człowiek! – kontynuowała. – To mocno hartowana dusza, to umysł dumny i ryzykancki! Chce wdrapać się na Olimp i podobnie jak niegdyś tytani<sup>28</sup> wsadzić Ossę na Pelion<sup>29</sup>... Może zamysła użyć naszych trupów jako stopni do tronu...

– Co należy zrobić? – szepnął znękany, pobladły Concini.

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi Leonory, a następnie jej oczy ponownie przybrały wyraz śmiertelnego postanowienia. Wolno wycodziła takie słowa:

– W pancerzu tego człowieka odkryłam słaby punkt.

– A tą słabością jest...?

– Hrabia Owernii jest ojcem...! Tak, ten ambitny człowiek, który tak dobrze zabezpieczył się przeciw możliwym zasadzkom, zapomniał o jednej rzeczy: że ma serce. Ojcowska

<sup>26</sup> *Cara mia* (wł.) – moja droga.

<sup>27</sup> *Owernia* – historyczna prowincja francuska, położona w środkowej Francji, której nazwa wywodzi się od galijskiego plemienia Arwernów; później wchodziła w skład Akwitania jako hrabstwo, a następnie występowała jako hrabstwo i delfinat Owernii; została podzielona na kilka części, które należały do różnych rodów francuskich (m.in. Burbonów), a także do biskupów z Clermont; ostatecznie pod koniec XVII wieku całą Owernię włączono do Korony francuskiej.

<sup>28</sup> *Tytani* – w mitologii greckiej bogowie z pokolenia olbrzymów, istniejący przed bogami olimpijskimi; Michel Zévaco błędnie przypisuje im wsadzenie góry Ossy na górę Pelion.

<sup>29</sup> *Ossa* i *Pelion* – najwyższe szczyty gór w Tesalii (Grecja); według mitologii greckiej Aloadzii, dwaj bracia Efiates i Otos, olbrzymi, synowie Posejdona, aby dostać się do nieba i zaatakować bogów zgromadzonych na Olimpie, zamierzali położyć górę Ossę na Pelion (albo Pelion na Ossę); pioruny Zeusa udaremniły ten plan.

miłość wyda go w nasze ręce, a to dlatego, Concino, jak zobaczysz, by oszczędzić cierpień swemu dziecku, zgodzi się na tortury; dla ocalenia tego dziecka wyrzeknie się szczęścia, tronu, honoru, wszystkiego, nawet życia.

– Rozumiem! – rzekł Concini z okrutnym uśmiechem.

– Jak to rozumiesz?

– Pochwycimy dziecko, a Karol d'Angoulême, hrabia Owernii, będzie się włókł u naszych stóp. Pozostanie nam tylko podyktować mu nasze prawo.

– Zgoda – zawołała Leonora, rzucając na męża dziwaczne spojrzenie. – A jeśli ojciec będzie się opierał?

Między mężem a żoną, między tymi dwoma istotami tak niepodobnymi do siebie, których zbliżało jedynie zło, nastąpiła minuta strasznego milczenia.

Jedynie Concini cichym krokiem podszedł do drzwi, żeby upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje, a wróciwszy do Leonory, z kolei pochylił się nad nią i głosem zapowiadającym kielkującą w myśli zbrodnię powiedział:

– Jeśli ojciec będzie się opierał... Jeżeli nie będzie w naszych rękach łachmanem...

– Co wtedy? – szepnęła Leonora, prawie bez tchu.

– Wtedy pozostaje u handlarza ziół na Moście Wymiany<sup>30</sup>, u Lorenzo, nabyć kilka kropli tej wody, która nikomu nie przebacza! To będzie dla dziecka!

– Tym razem zrozumiałeś! – stwierdziła Leonora ze strasliwym spokojem.

Popatrzyli sobie w oczy, trzymając twarz przy twarzy, w tym momencie zupełnie podobnych jedna do drugiej pod przykryciem tych samych zabójczych myśli...

Nagle w szybkim geście namiętności Leonora przyciągnęła i oplotła rękoma głowę Conciniego i złożyła na jego ustach namiętny i gorący pocałunek.

– W jakim wieku jest to dziecko? – zapytał Concini, odzyskawszy zimną krew.

– Ona może mieć siedemnaście lub osiemnaście lat.

– Ona! Córka! – wybełkotał Concini.

– Tak. Zresztą cóż to znaczy. Concino, nawet dzisiaj należy zacząć działać. Należy sprawić, żeby jutro rano dziewczyna obudziła się tutaj, będąc w naszej mocy. A wówczas... sam to powiedziałeś, Concino! Jeśli ojciec będzie się opierał, biada dziecku!

– Sam się tym zajmę już dzisiaj wieczorem. Gdzie znajdę dziewczynę?

– W Meudon – odpowiedziała Leonora. – Ostatni dom we wsi, na prawo, na wprost oberży, która nazywa się „Pod Sroką Złodziejką”.

Concini zachwiał się na nogach. Poczul, jak włosy jeżą mu się na głowie, a chłodny strach skrada się niczym zimny gad wzdłuż jego kręgosłupa.

– Jej imię? – wyrzęził. – Imię córki księcia d'Angoulême!

– Gisella! – odparła Leonora Galigai.

Marszałek d'Ancre niby rażony piorunem oniemiał z przerażenia, niezdolny wykonać jakiegokolwiek gest, mówić, ani myśleć.

Leonora Galigai obrzuciła go ostatnim spojrzeniem. Trupio błądy uśmiech przemknął po jej wargach, potem powoli wstała i milcząc, wyszła bezgłośnie, podobna do widma zapadającego się w ciemnościach.



<sup>30</sup> W oryginale: Pont-au-Change.

## Rozdział III

# *Adhemar de Tremazenc de Capestang*<sup>31</sup>

Rankiem tego samego dnia, kiedy miał się rozegrać dramat, który wkrótce sprowadzi nas znowu do pałacu d'Ancre, młody, dwudziestoletni jeździec galopował leniwie w odległości kilku mil od Longumeau.

Szczupły, smukły, giętki jak trzcina, ale trzcina ze stali, miał twarz o rysach nieregularnych, z wyrazem trochę drwiącym, obliczem na swój sposób pięknym, nacechowanym naiwną odwagą i nieświadomym zuchwalstwem. Oczy wyrażały nieograniczoną ufność w swą szczęśliwą gwiazdę. Z elegancją nosił trochę wyszarzały strój z szaroperłowego aksamitu, kaftan, płaszcz, buty za kolana, zawadiacko włożony na bakier filcowy kapelusz, ozdobiony długim, falującym piórem, nie wspominając o solidnym rapierze z cyzelowaną rękojeścią, dziele Miranda z Toledo.

Nagle koń zatrzymał się przed szerokim strumieniem. Była to ładna rzeczka Bièvre, wygrzewająca się w słońcu, która od tego miejsca płynęła skrajem lasu.

Droga wiodąca przez rzekę po mostku znajdującym się jedną milę w górę jej biegu wchodziła tam do lasu i ginęła.

Na tej drodze o dwadzieścia kroków od strumienia stała karoca, niewidoczna dla naszego młodego jeźdźcy, gdyż zasłaniał ją gąszcz młodych wiązów.

Z głębi powozu poprzez listowie kobieta wodziła ciekawie wzrokiem za młodzieńcem, który nie mając innego rozmówcy, gawędził ze swoim koniem:

– To nas nauczy, mój dzielny towarzyszu, w jakim celu nazwano cię Pędziwiatrem. Po co byłoby nazywać cię Pędziwiatrem, gdybyśmy musieli pokonywać rzeki po mostach jak zwykli śmiertelnicy? Jeśli upadniemy, powstaniemy jak Anteusz lub centaur<sup>32</sup>. I jeśli nawet spadniemy na dno, nasza porażka nie będzie miała innych świadków niż to słońce i kwiaty. Hop! Pędziwiatrze, hop! Hop...!

Jeździec nabrał rozpędu. Koń sunął na przeszkodę galopem cały zwarty, drżący, pryskający pianą, odskakując za każdym krokiem niby elastyczna sprężyna.

Nagle młodzieniec puścił cugle. Zwierzę pędziło jak huragan; dwa lub trzy razy wzdęto pierś, potem zaiskrzyły się cztery podkowki, cudowny skok w powietrzu, a w chwilę później, po drugiej stronie rzeki rozległo się triumfalne rzenie. Pędziwiatr, nie mogąc powstrzymać rozpędu, pogalopował w środek lasu i zatrzymał się o kilka kroków przed niewidoczną dotychczas karocą.

– Brawo, Pędziwiatrze! – wołał jeździec, klepiąc pieszczotliwie po szyi dzielnego wierzchowca. – Brawo! Cudownie!

– Cudownie! – powtórzył głos z głębi zarośli.

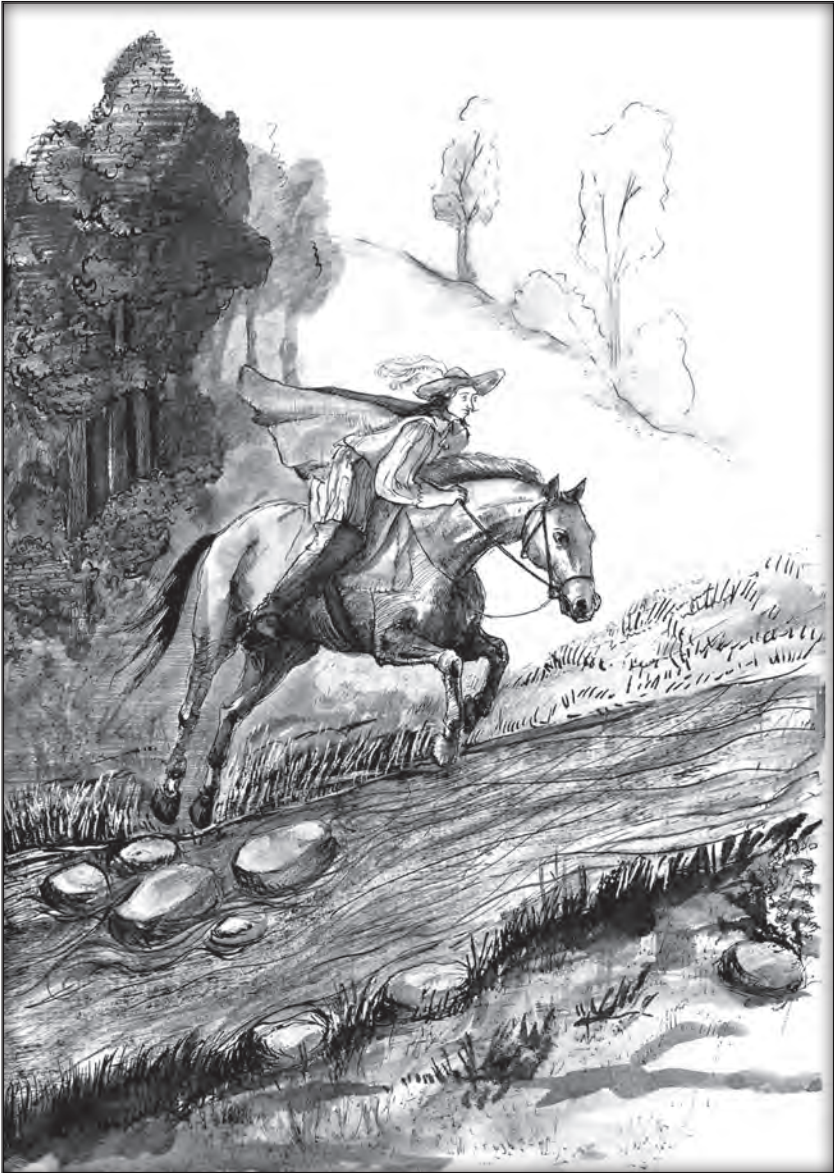
Młody człowiek podniósł się przestraszony.

– Ejże! – zawołał. – Czyżby to było mieszkanie bożka Echo?

<sup>31</sup> W oryginale: Adhémar de Trémazenc de Capestang.

<sup>32</sup> *Anteusz* – w mitologii greckiej syn Gai i Posejdona, najpotężniejszy z gigantów; niepokonany, gdyż odzyskiwał siły, dotykając matki Ziemi; mieszkał w Libii i zmuszał podróżnych do walki ze sobą; pokonał go Herakles, który uniósł go podczas zmagania do góry i pozbawił sił, oderwawszy od Ziemi; *centaur* – w mitologii greckiej koń z głową i torsem człowieka.





– Naprawdę cudownie! – powtórzyła dama, wychylając się z powozu. – Nie chcąc jeździć banalną drogą, gotowy jesteś zabić się, mój szlachcicu!

– Mała z Longjumeau! – szepnął jeździec. – Nie było to dobre zbaczać z drogi, by przed nią uciec... żeby z zadowoleniem marzyć o pięknej amazonce w niebieskim aksamicie...! Czy kiedyś jeszcze ją ujrzę...?! Jej spojrzenie przeniknęło w głąb mej duszy, i...

- Nie odpowiedziałeś mi, łaskawy panie! – odezwała się dama, przerywając marzenia.
- Niech ją dżuma! Jakkolwiek jest ładna! Proszę mi wybaczyć...

I złorzeczac w głębi duszy, jeździec złożył damie, którą nazywał „ta mała”, grzeczny ukłon swoim kapeluszem.

Było to prawie dziecko wyglądające co najwyżej piętnaście lat, uderzająco piękne, z twarzą, na której malowała się niezwykła odwaga, i wzrokiem już zaczepnym, ale jeszcze nieśmiałym.

– Jak mi mówiłeś w Longjumeau – zagadnęła. – Jedziesz pan na los szczęścia, to znaczy nigdzie?

– Zgadza się, pani – powiedział żywo młodzieniec. – W tej chwili wiedzie mnie przypadek, ale jeśli mam powiedzieć prawdę, kieruję się do Paryża.

– Ja także! – zawołała dziwna dziewczyna z głośnym nerwowym śmiechem, trochę rozżalonym tonem. – Powiedz mi, kochany towarzyszu podróży, co zamierzasz robić w Paryżu?

– Mój Boże, madame, chcę zdobyć fortunę! – odparł naiwnie młodzieniec.

– Coś takiego! To zupełnie jak ja! Może razem będziemy podróżowali? Mogę się panu przydać. Znam w Paryżu wielu ludzi, na przykład pana biskupa de Luçon, dobrze widzianego u dworu, któremu zostałam polecona. Wspomnę mu o panu.

– Tysiączne dzięki, pani! Ja także mam zapewnioną protekcję. Wie pani czyją? Znakoomitego marszałka d'Ancre we własnej osobie. Co do wspólnej podróży razem z panią, byłoby to dla mnie wielkim zaszczytem eskortować pani powóz, ale jak już powiedziałem...

Ponownie wybuchnęła śmiechem, odkrywając podwójny rząd wspaniałych perełek oprawionych w karminowy aksamit dwóch warg świeżych jak kwiaty.

– Zatem żegnam pana! – zawołała. – Tak czy inaczej, niech pan posłucha. Zajadę na ulicę Tournon do hotelu „Pod Trzema Monarchami”. Jeżeli przypadek, który, jak się zdaje, kieruje pana losami, jeśli więc ten przypadek zrządzi, że będziesz chciał znowu mnie zobaczyć, tam o mnie pytaj...

– O kogo mam pytać? – zawołał jakby mimo sobie jeździec.

– O pannę Marion Delorme<sup>33</sup>.

\*\*\*

Młody człowiek pozostał nieruchomy w tym samym miejscu, a już powóz unoszący Marion Delorme zniknął w dali, gdy jakiś głos wyrwał go z marzenia. Szybko uniósł głowę i zobaczył przed sobą młodego szlachcica świetnej postawy na wspaniałym dereszcu, z przytroczonym do siodła tłumoczkciem. I ten nowo przybyły miał na sobie aksamitny, szaroperłowy strój.

– Łaskawy panie, już od trzech minut krążę dookoła ciebie.

– Trzy minuty! To bardzo długo lub bardzo krótko.

– To, co mam panu do powiedzenia, będzie jeszcze krótsze! – odparł nieznajomy, który zdawał się niezwykle wzburzony.

– Mów więc! – powiedział nasz młodzieniec. – Jednak uprzedzam pana, że jakkolwiek krótka ma być nasza rozmowa, moja cierpliwość będzie jeszcze krótsza. Co chcesz mi powiedzieć?

<sup>33</sup> Marie de Lon, panna de Lorme, nazywana Marion de Lorme lub *Marion Delorme* (1613-1650) – francuska kurtyzana, kochanka m.in. innym Cinq-Marsa, z którym miała troje dzieci; w roku 1616. w którym toczy się akcja powieści, miała zaledwie trzy lata.



– To tylko, że w oberży w Longjumeau rozmawiałeś z tą dziewczyną, która tędy przejeżdżała.

– Chciał pan powiedzieć, że to ona do mnie mówiła.

– Jedno i drugie jednakowo mi się nie podoba. Nie podoba mi się także to, że pan zatrzymał się w tym miejscu, by z nią jeszcze pomówić.

– Czy to wszystko? – mruknął pan Pędziwiatra, dumnie biorąc się pod boki.

– Nie, chcę jeszcze panu powiedzieć, że te fanfarońskie miny może są dobre we włoskiej komedii, ale między szlachciami są w szkaradnym guście.

– Mój panie – powiedział chłodno nasz awanturnik – fanfaron z komedii ma tylko drewnianą szabelkę, podczas gdy moja jest z hartowanej stali, zdolna wcisnąć do gardła nieśmiały kochanków wygłaszane impertynencje. Wyciągnij w tej chwili szpadę z pochwy, proszę!

– W tym się zgadzamy! – odparł nieznajomy tonem odmiennym, pełnym uprzejmości.

– Tylko, mój kochany przeciwniku, ośmielam się skierować do pana prośbę. Pilno mi bardzo podążyć za tym powozem...

– Dobrze. Żąda pan kredytu, nieprawdaż...? Przystaję!

– Jest pan bardzo łaskawy, bądź nim zatem do końca, a za trzy dni pytaj o mnie, byśmy razem zjedli śniadanie. Potem pójdziemy poprzeryzać sobie gardła.

– Cudownie. Gdzie mam pana szukać, aby mu udzielić małej lekcji fechtunku?

– Ostatniej pańskiej lekcji. W hotelu „Pod Trzema Monarchami” przy ulicy Tournon w Paryżu. Tam umówimy się na spotkanie w celu upuszczenia krwi, co niewątpliwie przyniesie panu ulgę.

– Bardzo dobrze. Teraz powiedz mi, jak się pan nazywa, bo ja Adhemar de Tremazenc, kawaler de Capestang. A pan?

– Ja, mój panie – odparł nieznajomy – nazywam się Henri de Ruzé d’Effiat<sup>34</sup>, markiz de Cinq-Mars.

Obaj młodzi ludzie jednocześnie odkryli głowy, nisko opuszczając kapelusze, i pochylili się aż do szyi swoich koni.

Po wyprostowaniu się każdy z nich wykonał pół wolty<sup>35</sup> i odjechał: markiz de Cinq-Mars drogą, jaką potoczyła się karetą, a kawaler de Capestang skręcającą w lewo ścieżką.

– Pięknie! – szepnął ten, który nosił przesadnie wyniosłe nazwisko Adhemar de Tremazenc de Capestang, przy czym pewien rodzaj niepokoju ścisnął mu gardło. – Mam pojedynek na karku! To nie pomoże mi odnaleźć się w tym mieście!

Po godzinie spostrzegł, że zupełnie zabłądził. Zatrzymał konia przed pierwszym szynkiem, na jaki się natknął, i zasiadł do stołu w altance przed dużym omletem oraz dzbankiem lekkiego białego wina.

Gdy słońce miało się już ku zachodowi, młodzieniec dosiadł znowu rumaka, a gospodarz, pijąc z nim strzeziennego, wskazał drogę. Wędrowiec musiał przejechać tylko przez las, aby dostać się do Meudon, a stamtąd do Paryża.

Kawaler de Capestang ruszył więc w drogę, rozmyślając o swoim pojedynku z markizem de Cinq-Mars, rozmyślając o Marion Delorme, marząc o amazonce w niebieskim, akksamitnym kostiumie, która poprzedniego dnia w Longjumeau wywarła na nim tak silne

<sup>34</sup> *Effiat* – miejscowość i gmina we Francji w regionie Owernia-Rodan-Alpy, w departamencie Puy-de-Dôme.

<sup>35</sup> *Wolta* – jeździecka figura ujeżdżeniowa, w trakcie której jeździec, siedząc w pełnym siadzie, wykonuje wraz z koniem okrąg; figura ta może być wykonana we wszystkich chodach konia (oprócz cwału).

wrażenie, i myśląc wreszcie o znakomitym Concinim, marszałku d'Ancre, do którego miał list polecający.

Naraz amator przygód zauważył, że nie tylko zrobiło się już późno, ale że jego koń przez jakiś kaprys obrał ścieżkę coraz bardziej oddalającą się od głównego, bitego traktu królewskiego, zresztą drogi w bardzo kiepskim stanie, pełnej malowniczych, ale niebezpiecznych dla wozów wybojów.

Ściągnawszy cugle i pieszczotliwie cmokając na swego konia, młody jeździec prosto przez las skierował się ku drodze do Paryża.

Gdy prawie do niej dojeżdżał i dzielił go od niej tylko gąszcz zarośli, wstrzymał nie spodziewanie rumaka. Na drodze w niedużej odległości od niego jakiś człowiek i młoda dziewczyna cichym głosem wymieniali między sobą porywcze słowa.

Słów tych przybysz nie mógł słyszeć...

Jednak na widok młodej amazonki Adhemar de Tremazenc, kawaler de Capestang, stanął jakby osłepiony! Serce zaczęło bić mu jak młotem w przyspieszonym tempie, a niepokój ścisnął mu gardło.

– Ona! Wielki Boże... To ona...!

\*\*\*

Mężczyzna i dziewczyna, oboje na koniach, stali na środku drogi jedno naprzeciwko drugiego, z twarzami tak silnie wzburzonymi, jak gwałtowne były wymieniane szeptem słowa, zdradzające u niego namiętność, cynizm, groźbę, a u niej przerażenie, wzdargę, nienawiść.

– Gisello, posłuchaj mnie! – mówił mężczyzna z akcentem groźby w głosie. – Posłuchaj, zanim jeszcze nie jest za późno! Jutro rano... co mówię!, dziś wieczorem już nie będzie żadnej rady. Mogę uratować twego ojca i ciebie przed strasznym niebezpieczeństwem...! A za moje poświęcenie...

– Pańskie poświęcenie jest dla mnie wstrętne!

– W nagrodę za pokorną miłość człowieka, który cię uwielbia, który gotów poświęcić ci swoje życie...

– Każde pana słowo jest obelgą!

– Gisello, w zamian za to poświęcenie i za uwielbienie żądam tylko mniej surowego wejrzenia... och, jednego słowa nadziei!

– Wszystko, co mogę zrobić, to nie okazywać swym spojrzeniem pogardy, jaką pan we mnie wzbudza. A jedyne słowo, z jakim w tej chwili zwrócę się do niego, to: idź pan swoją drogą!

Słowa te następowały po sobie, trącały się, zderzały, szybko niby cięcia szpady w śmiertelnym pojedynku.

– Czy to ostatnie twoje słowo, pani? – spytał mężczyzna zdławionym od tajonej wściekłości głosem.

– Niech pan odejdzie! – odparła młoda dziewczyna dumnym tonem.

– Zatem dobrze! – krzyknął mężczyzna posiniały z wściekłości i namiętności. – Tylko do samej siebie miej pretensje, że pod twymi nogami utworzy się przepaść... Że twój ojciec umrze z rozpaczy, a ty sama zginiesz marnie, gdyż, przysięgam na Boga...!

Po tych słowach ów człowiek, jakby nie mógł dłużej zapanować nad sobą, popchnął swego konia na konia młodej dziewczyny, która stała się błada jak lilia.

Concino Concini, marszałek d'Ancre, podniósł rękę, twardą rękę łotra, by złapać córkę księcia d'Angoulême'a.

Gisella z okrzykiem przerażenia odchyliła się do tyłu.

W tej chwili coś gwałtownego, coś przemożnego, szybkiego jak kula armatnia w locie wyskoczyło z lasu wśród chrupotu łamanych gałęzi... Koń marszałka d'Ancre wystraszony odskoczył w bok, nie mogąc się oprzeć straszliwemu natarciu... Długa, szeroka, solidna szpada zabłysnęła w promieniach zachodzącego słońca i zagrzmiął głos kawalera de Capestang:

– Precz, panie niegodziwcze! Precz zuchwalcze obrażający kobiety! Precz, panie nikczemniku, albo, na krew Chrystusa, wybiła twoja ostatnia godzina!

W oczach drżącej Giselli mignęło zjawisko rycerza ukazującego się jej w aureoli chwały, pięknego blasku słusznego gniewu.

I ten okrzyk radości, nadziei, dumy rozbrzmiał w jej wnętrzu, jakby pochodzący z głębin serca.

„To on...! Henri de Cinq-Mars...!”

Poblądły, bełkoczący, z czołem oblanym zimnym potem Concini ujrzał o dwa cale od swojej piersi ostrze wielkiej szpady.

Gwałtownym szarpnięciem odskoczył do tyłu.

– Co to za rozbójnik z gościńca! – wybełkotał. – Nędzniku, ja...

– Idź precz! – ryknął Capestang.

– Czy wiesz, kim jestem...?! Szubienica! Stryczek! Tortury, jeśli...

– Idź precz! – powtórzył Capestang.

Tym razem z jego oczu strzeliła tak straszliwa błyskawica, wyraz tak niezłomnej decyzji odmalował się na jego twarzy, że Concini wobec tej ciskającej błyskawicy grupy, którą tworzyli: jeździec, szykujący się do skoku koń i rapier gotowy zadać śmiertelny cios... uczuł chłód przenikający go do szpiku kości.

– W porządku! – wyszeptał wykrzywionymi ze złości, pobielalymi ze strachu wargami i cofnął się o kilka kroków.

Kawaler Capestang zawrócił konia i znalazł się twarzą w twarz z Gisellą.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, drżąc oboje z doświadczanego głębokiego wzruszenia, którego tajemniczego źródła nie znali.

Młodzieniec skłonił się przed pozostającą w bezruchu dziewczyną, podobną do cudownego posągu, mogącego ożywić się od tchnienia miłości.

– Pani – odezwał z niezwykłą łagodnością – jak długo będę miał honor znajdować się obok ciebie w podobnych okolicznościach, błagam, byś nigdy niczego się nie obawiała...

Ona potrząsnęła śliczną główką i wyraz dumy niby nimbem otoczył jej czoło.

– Panie, niczego się nie boję, ale dziękuję ci z całego serca...

W tej chwili Concini zadał w srebrną świstawkę wiszącą na jego szyi i wściekle przeklął. Gdy tylko przeraźliwy świst przeszył powietrze i zburzył leśną ciszę, rozległ się tętent pędzących koni.

– Chwytajcie tego człowieka! – zawył Concini.

Ośmiu albo dziesięciu jeźdźców rzuciło się na kawalera de Capestang.

Tymczasem Concini z szatańskim uśmiechem w kącikach ust zbliżał się do Giselli i triumfalnym gestem wyciągał do niej rękę.

Młody człowiek potężnie nacisnął boki Pędziwiatra. Koń skoczył jak szalony. Rozległy się krzyki, jęki, przekleństwa. Pędziwiatr w żywym murze napastników zrobił wyłom i zbryzgany krwią pokonał zaporę.

Capestang natychmiast zeskoczył z siodła na ziemię i zza pasa wyciągnął solidny sztylet.



Dokładnie w chwili, gdy Concini miał pochwycić Gisellę, jego uderzony w pierś wierzchowiec zachwiał się i zwałił na ziemię z przejmującym rzeniem.

Włoch spojrział na Capestanga stojącego ze szpadą w ręku przed rumakiem Giselli.

– Uwaga, Wasza Wysokość! – krzyczeli służalcy Concinięgo, którzy po chwili osłupienia rzucili się zwartą masą na młodego człowieka.

– Bij! Zabij! Bez pardonu!

– Uciekaj, panno – powiedział Capestang, uderzeniem szpady powalając najbliższego napastnika.

– Nie! – odparła łagodnie Gisella.

– Na śmierć! Na śmierć! – wrzeszczeli zapamiętali szaleńcy.

– Sprawi pani, że mnie zabiją – mówił dalej Capestang, parując cięcie mające mu rozplątać czaszkę.

– Brać go żywcem! – wołał Concini, który jako doskonały jeździec zręcznie zeskoczył na ziemię.

– A gdy będę sam, potrafię wyjść z opresji – kontynuował młody człowiek. – To do pana! Już jesteś martwy...!

Jeden człowiek padł bez życia, dwaj inni byli ranni. Concini pienieł się ze złości.

W tym tumultcie, pośród uderzeń i błyskawic szpad, pomiędzy przekleństwami i okrzykami, wśród tej sceny budzącej przerażenie i grozę, wzniosła, godną homerycznej epopei była spokojna rozmowa prowadzona przez Gisellę i Capestanga.

Gisella, blada jak śmierć, pochyliła się nad młodym człowiekiem w chwili, gdy ten poraniony, cały obłany krwią, wstawał po zadanym ciosie.

– Do pioruna! Do kata! Na rany Chrystusa! – wołali napastnicy.

– To szatan, nie człowiek!

– Śmierć wszystkim diabłom! Powiesimy go!

– Obedrzemy żywcem ze skóry!

– Moja panno – błagał Capestang. – Jeżeli pozostaniesz jeszcze minutę dłużej, już po mnie!

– Zatem żegnam cię! Żegnam – szepnęła. – Być może już nigdy pana nie zobaczę... ale będziesz żył... w mej pamięci... jak długo będę żyła.

Dziewczyna położyła rękę na jego drżącej piersi, a Capestang uczył dreszcz przenikający do głębi duszy.

W tej chwili Concini zaklął straszliwie, bowiem Gisella, popędzając konia szpicrutą, odjechała szalonym galopem.

– Naprzód, zatrzymać ją! Rinaldo, dam ci tysiąc talarów, jeśli ją schwytasz!

– Teraz kolej na nas, Pędziwiatrze! – zawołał Capestang.

Jednym skokiem znalazł się w siodle. Po drugim był już na drodze. Rinaldo i jego towarzysze być może zadowoleni, że mogli porzucić groźnego przeciwnika, rzucili się w pościg za Gisellą.

– Ani kroku dalej! – zagrzmiął Capestang.

W rękę trzymał już tylko odłamek szpady. Z ramienia, z barku i z cięcia na szyi płynęła mu krew. Cały był w łachmanach, nieprzytomny, z najeżonymi włosami, z pałającym wzrokiem niby w przystępie obłądu. Promienie zachodzącego słońca przedzierające się przez liście otaczały go niby złotą aureolą, a na tle tej promiennej aureoli jego delikatny profil zarysowywał się wraz z olbrzymią sylwetką Pędziwiatry, tworząc z niego postać herosa. Mógł

umrzeć w tej chwili, nie wiedząc nawet, że go pozbawiają życia. Nie czuł ran, nie czuł ciekącej krwi. Trwał jakby w fantastycznym i strasznym śnie.

– Z drogi! Z drogi! – wrzeszczeli jeźdźcy.

Wówczas zdarzyła się jedna z tych szybkich wizji, jakie wywołuje gorączkowe majaczenie. Pędziwiatr, gigantyczny, apokaliptyczny Pędziwiatr, jakby w napadzie szału i delirium przebiegał w dzikich skokach po całej drodze. Był tu, był tam, na wszystkie strony rozdawał straszliwe wierzgnięcia, nacierał, pochylał się, stawał prawie pionowo, robił zwrot, zawracał, okręcał wokół siebie, mając raz pysk z przodu, raz z tyłu, pieniać się, rżąc, dygocząc, parskając... Nie! Nie było sposobu, by go minąć... Nie dało rady przejść...! Jeden koń padł ze zdruzgotaną wierzgnięciem piersią, drugi zwałił się ze złamanym kolanem... Słońce chowało się za horyzontem, a wszędzie rozlegały się, wybuchały, przelatywały złorzeczenia, a nad tą piekielną wrzawą grzmiał straszliwy głos Capestanga: „Nie ma przejścia!”

To trwało trzy minuty. Większość ludzi Conciniego została wysadzona z siodeł, trzech czy czterech z nich leżało na drodze, inni się cofnęli...

Capestang był zwycięzcą.

Gisella już dawno zniknęła.

Concini ujął głowę w obie ręce i zapłakał. Przez chwilę płomiennym wzrokiem śledził młodego awanturnika, który wolnym klusem odjeżdżał z placu boju.

– Ach! – szepnął marszałek. – Oddałbym dziesięć lat mego życia, by trzymać cię w ręku, wygryzać ci serce, przypiekać na wolnym ogniu i psom rzucić twoje szczątki!

– Ja się tym zajmę! – rozległ się w pobliżu głos Rinalda. – Wasza Wysokość, odnajdę tego wściekłego szaleńca, a co do tej małej... nic nie jeszcze stracone! Przypomnij sobie Meudon!





## Rozdział IV

### Zaczarowany pałac

Nadchodził wieczór. Pod drzewami robiło się coraz ciemniej. Po jasnym gościńcu Pędziwiatr biegł truchtem, z rozdętymi nozdrzami, wysoko podnosząc nogi, z podniesionym ogonem, wyglądającym jak pióropusz.

Kawaler de Capestang, obdarty, zakurzony, zakrwawiony, z rozpaloną głową, niezdolny zebrać razem tysięcy myśli zderzających się w jego podnieconej wyobraźni, jeszcze pod-ekscytowany tym dziwnym snem, którym zdawał się żyć, tym wspomnieniem bitwy, podczas której poczuł drżącą w nim do tej pory nieznaną siłę, zatem ów kawaler puścił wodze swemu rumakowi, mając tylko jedną jasną myśl: Jutro odszukać wszechwładnego pana, któremu został polecony, Concino Concinięgo, marszałka d'Ancre! Opowiedzieć mu o całym zajściu, przyjąć się do niego na służbę i znaleźć w nim potężnego protektora.

– Ponieważ – mówił do siebie – człowiek, którego zaatakowałem, niewątpliwie musi być wysoko postawioną osobistością, może jakimś księciem... Słyszałem, jak jego ludzie tytułowali go Waszą Wysokością! Ach, biedny Capestangu! Jeśli nie otrzymasz ochrony znakomitego marszałka d'Ancre, nie dałbym nawet pół pistola<sup>36</sup> za twoją skórę! Do Paryża! Prędko do Paryża! Hop, hop, Pędziwiatrze!

Jednak dotarłszy do pierwszych domów Meudon, gdy już zapadała noc, poczuł się tak słaby z powodu utraty krwi, że widział tylko jakby przez mgłę. Zrozumiał, iż nie może jechać dalej.

Zobaczył zajazd. Wjechał tam, wprowadził Pędziwiatra do stajni, ustawił przy korycie i kazał sobie dać pokój. Ten, do którego go zaprowadzono – najpiękniejszy, jak zapewniała gospodyni, ze wszystkich pokoi w hotelach w Meudon – był gabinetem z oknami wychodzącymi na drogę.

Tymczasem właścicielka, głosząc pochwały na cześć pokoju i hotelu, a jednocześnie niepokojnym wzrokiem przyglądając się podartej odzieży awanturnika, dodała:

– Wybacz, panie szlachcicu, ale w oberży „Pod Sroką Złodziejką” mamy zwyczaj brać zapłatę z góry.

Kawaler żywo zaczął poszukiwać swej sakiewki, nędznej sakiewki, która zawierała dwa-dzieścia podwójnych pistoli, cały jego majątek. Chociaż była chudziutka, to przecież powinien ją odszukać. Jednak Capestang jej nie znalazł; zgubił ją podczas całego zamieszania!

Nieco pobladł, następnie zaczerwienił się, a potem jeszcze bardziej zbladł.

– Moja dobra pani – powiedział – weźmiesz w zastaw uprzęż mego konia, jeżeli do jutra nie odnajdę sakiewki, którą miałem w tej kieszeni, a teraz tam jej nie ma...

Właścicielka oberży „Pod Sroką Złodziejką” wyszła, nie czyniąc żadnych uwag, ale też i nie pytając gościa, czy czegoś by nie zjadł lub nie wypił. Capestang raczej wolałby umrzeć na miejscu niż zażądać od niej kawałka chleba albo szklanki wody. Przynurzył jedyny znajdujący się w pokoju fotel do okna, które otworzył w nadziei, że nocny wietrzyk ochłodzi jego rozpalone czoło. W tej chwili oberżystka, która może słuchała pod drzwiami, ukazała się znowu na progu i rzekła:

– Zapomniałam uprzedzić pana, żebyś długo nie wyglądał przez okno, a to z powodu domu z naprzeciwka, nawiedzanego przez duchy. Widuje się tam białą damę, słyszy się jęki,

<sup>36</sup> *Pistol* – dawna złota moneta francuska.

choć budynek nie jest zamieszkały od pięćdziesięciu lat. Krótko mówiąc, zawsze spotyka nieszczęście tego, kto przypatruje się owej budowli w nocy. Choć nie ma pan pieniędzy, spełniam mój obowiązek, udzielając mu tej przestrogi. Dobranoc.

Kiedy szorstka gospodyni zniknęła, Capestang wzruszył ramionami i wyciągnął się w fotelu przy oknie, mrucząc:

– Mam piekło w gardle i ściska mnie w żołądku. Do kata, jakie mam pragnienie! A jaki głód...! Kim mógł być ten wielmożny pan...? Do licha, jak mi dokuczają głód i pragnienie!

Potrząsnął głową i podniósł wzrok ku gwiazdom, łagodnie spoglądającym na niego z góry. Potem machinalnie jego spojrzenie skierowało się w dół, na ziemię, i spoczęło na niewyraźnej bryle rysującej się po drugiej stronie drogi, na ten tajemniczy dom, na który według słów gospodyni niebezpiecznie było patrzeć w nocy!

Powoli cichła wrzawa hotelowa, gasły kolejno rzadkie światełka miasteczka i zapanowało majestatyczne milczenie przyrody, usypiającej w ciemnościach. Z głodu i pragnienia gorączka trawiła młodego człowieka. W obolałej głowie niczym w kalejdoskopie przesuwały się szybko i bezgłośnie obrazy i postacie: nieznany wielmożny pan, którego zaatakował, młoda dziewczyna, którą obronił, młody markiz de Cinq-Mars, Marion Delorme, a nawet biała dama z domu nawiedzanego przez duchy, mieszały się w jego gorączkowych marzeniach... Capestang zasnął na fotelu przy otwartym oknie.

Nagle tę głęboką ciszę rozdarł straszny krzyk i zbudził kawalera, który zerwał się i nadstawił ucha. W tej chwili zaczął bić zegar na dzwonnicy w Meudon. Capestang liczył uderzenia wykonanego z brązu mechanizmu.

– Północ! – szepnął. – Śniło mi się, że słyszałem jakiś krzyk. Dalej, już najwyższy czas, bym...

Przerwał mu bolesny jęk... potem kolejno następujące po sobie skargi... przytłumione wołania... odgłosy walki... jęki...

Z pałającą głową, nieprzytomnym wzrokiem, z czołem zroszonym potem Capestang przysłuchiwał się tym odgłosom.

– Och! – szepnął. – Czyżby naprawdę ten dom był nawiedzony?! Och, można by powiedzieć, że wewnątrz kogoś mordują. Ach, te jęki boleśnie ranią mi serce!

Tak mówiąc, Capestang przełożył nogę przez parapet okna. Jednym spojrzeniem zmierzył odległość dzielącą go od ziemi... W ciemności nocy słychać było upadek ciemnej bryły, następnie głuchy dźwięk... Capestang skoczył!

Jednym susem znalazł się przy bramie tajemniczego domu i ręką szpadą mocno w nią uderzał.

Do uszu młodzieńca dobiegł ostatni jęk, daleki, stłumiony, podobny do lamentu, jaki legendy kładą w usta bezkrwistych widm.

Teraz zapanowała tajemnicza, nieodgadniona cisza. Capestang słyszał tylko rozlegające się w domu ponure echa, zbudzone uderzeniami jego broni w bramę.

– Dowiem się! – stwierdził. – Muszę wiedzieć, co się dzieje wewnątrz! Przysięgam na pamięć matki, która mnie wydała na świat! Nie wiem, czy to na skutek głodu, pragnienia albo majaczenia, ale o mało co nie oszaleję z ciekawości! Gotów jestem gryźć mury, za którymi coś się dzieje, o czym ja nie wiem!

Mówiąc tak, młody człowiek ruszył wzdłuż fasady domu, a potem z odłamkiem szpadą w rękę pobiegł wzdłuż muru, który nagle skręcił w stronę pola. Po pięciu minutach doszedł do miejsca, gdzie mur zawalił się, tworząc rodzaj wyrwy, w którą wskoczył.



W tej chwili księżyc wyrzał zza wierzchołków drzew i oświetlił scenerię swymi niebieskawymi promieniami, przedzierającymi się przez gąszcz liści i rzucającymi fantastyczne refleksy.

Capestang spostrzegł, że znajdował się w parku. Patrząc w głąb w kierunku drogi, widział tylną ścianę nawiedzzonego domu.

Budynek wyglądał na pańską rezydencję. Był to rodzaj zamku zbudowanego w czarującym stylu renesansu, otoczonego dokoła olbrzymim ogrodem.

Dom wydawał się połowicznie zrujnowany, nadgryziony przez czas, lecz park pozostał gęsto zarośnięty jak rozczochrana czupryna Polifema<sup>37</sup>. W bladym, tajemniczym świetle księżycza cały ten ponury krajobraz, chwilami tylko zalewany potokami światła, z konturami domu srebrzysto odbijającymi w ciemności, czynił wrażenie nadziemskiego zjawiska. Mogła być to siedziba Tytanii lub Oberona<sup>38</sup>.

Tam liczne dzikie róże oplatały tysiącami swoich ramion pnie buków i kasztanów; tu olbrzymie głogi wyrastały ponad paprocie rozkładające szerokie wachlarze, w innym miejscu osty tworzyły elegancką dekorację, jeżyny pięły się na zewnętrzne schody. Cała dzika roślinność, falująca pod tchnieniem nocnego wietrzyku, rozciągała się jak ocean zieleni, z którego wynurzał się dom podobny do syreny wychylającej ponad fale głowę, by przyciągnąć do siebie marynarza.

Rzeczywiście, Capestang czuł się przyciągany do tego budynku jakby jakąś magnetyczną siłą.

Jedną ręką rozchylając bujne jeżyny, które uderzały go po twarzy, chwyciły za nogi, podobne do bóstw opiekuńczych broniących dostępu do zaczarowanego zamku, a w drugiej trzymając resztki szpady, wszedł na schody. Drżący, zdumiony, wkroczył do sieni słabo oświetlonej lampą wiszącą u sufitu.

– Gdzie jestem? – szepnął. – Czy to gorączka wprowadza mnie w senne złudzenie? Czy to jest zamek śpiącej królowny<sup>39</sup>?

W głąbi przedSIONKA zaczynały się schody. Capestang zaczął po nich wchodzić, a na gorze przestąpił próg dużej, pięknej sali. Z wyciągniętą szyją nadśluchiwał w milczeniu, po czym silnym głosem zawołał:

– Hola! Jest tu kto? Kto krzyczał? Kto wzywał pomocy? Przychodzę z nią!

Nikt nie odpowiedział. Panowała głęboka cisza.

Młody człowiek szybko przebiegł przez kilka różnych sali, których drzwi były pootwierane, i wkrótce nabrał przekonania, że sam jeden znajdował się w tajemniczym domu.

– Prawdopodobnie przybywam po bitwie! – stwierdził. – Może jednak te krzyki, te jęki, które przed chwilą słyszałem, były wytworem mojej wyobraźni...? Do licha, chyba miałem zwidy! Zasnąłem, a we śnie wydawało mi się, że tu popełniono zbrodnię... Och, a to co?

<sup>37</sup> *Polifem* (mit. gr.) – cyklop, według Odysei dziki i okrutny, jednooki syn Posejdona i nimfy Toosy; uwięził Odyseusza z towarzyszami w jaskini i sześciu z nich pożarł; Odyseusz, aby wydostać się na wolność, podstępem oślepił Polifema, a towarzyszy wyprowadził z pieczary, przywiązawszy ich do brzuchów baranów.

<sup>38</sup> *Tytania* – królowa wrózek; *Oberon* (Auberon) – król wrózek w średniowiecznej i renesansowej literaturze; najbardziej znany jest jako postać ze *Snu nocy letniej* Williama Szekspira, w której jest mężem Tytanii, królowej wrózek.

<sup>39</sup> Charles Perrault, autor książki *Opowieści wrózek* (właściwie *Bajki Babci Gąski*), która wraz z *Robinsonem Crusoe* zyskała nieśmiertelność rzadkich i cennych utworów zdolnych zachwycać dzieci, urodził się dopiero około piętnaście lat później; jednak niesłusznie surowi krytycy oskarżać naszego bohatera o anachronizm, gdyż *Kopciuszek*, *Tomcio Paluch* czy *Ogr* już od dawna, być może od zawsze, żyli w popularnych legendach [przypis M. Zévaco].

Capestang wszedł do dość dużego pokoju, w którym nie było żadnych mebli. Jedynie na czterech ścianach wisiały kompletne ubrania, począwszy od filcowych kapeluszy, przystrojonych czerwonymi piórami, aż po buty, wykonane ze skóry o płowej<sup>40</sup> barwie. Mogłoby się tutaj ubrać z pięćdziesięciu mężczyzn.

– Byłaby to diabelska tandecjarnia gnomów<sup>41</sup> i chochlików? Śliczne kostiumy...! Że też nie jestem jednym z tych chochlików, dla których są przeznaczone! – Capestang podszedł bliżej i zdjął jeden płaszcz. – Wspaniały aksamitny płaszcz solidnie podbity jedwabiem! Ba! Mój tylko ma szarobrunatne płótno, ale cię wołę, mój stary płaszczu, wierny towarzyszu w czasie deszczów i zamieci... Jeśli chodzi o ten kaftan – to mówiąc, zdjął wspomniany kaftan – muszę przyznać, że jest nienaruszony! Zupełnie nowiutki, podczas gdy mój jest tak pocięty, że mogłoby go nosić tylko Roland<sup>42</sup>, kiedy ginął w Roncevaux<sup>43</sup>. Przeczytałem ten poemat, który znajdował się między bajkami i *chansons de gestes*<sup>44</sup>, jakie posiadała moja pani matka. Żałuję, że kaftan nie należy do mnie.

Capestang westchnął głęboko, zawiesił na kołku ubranie, eleganckie, dostatnie, w jakie zaopatrzone powinien być szlachcic udający się na jakąś wyprawę. Po chwili znowu je zdjął i zanurzył się w wyrażających podziw medytacjach.

– Nie przypominam sobie – mówił do siebie – żebym miał na sobie nowy kaftan. Te, które sporządziła dla mnie pani matka, wykrawane były ze starych kaftanów kawalera, mego zacnego ojca. To ciekawe! Wszystkie kaftany są do siebie podobne. Gdybym jeden z nich przymierzył, czy byłoby w tym coś złego? Sądzę, że człowiek musi doświadczać pewnego rodzaju wzruszenia, ubierając się w nowe ubranie. Cenna emocja, której jeszcze nie zaznałem...

Pięć minut później po kilku próbach młody człowiek przywdział kaftan, wyśmienicie na niego pasujący. Z nabożną pieczołowitością zawiesił swoje podziurawione, porozdzierane ubranie na miejscu zabranego.

– Ach, przyjemnie się w nim oddycha! Wydaje mi się, jakbym wart był dwadzieścia pistoli więcej. Wrażenie bardzo miłe... Gdybym tak odważył się jeszcze na nową próbę?

Od próby do kolejnej próby, od emocji do emocji, Capestang ujrzał się niebawem w rycerskim stroju, zacząwszy od filcowego kapelusza z czerwonym piórem, skończywszy na butach z płowej skóry, sięgających mu za kolana.

– Wszystko to, odchodząc, położę na swoim miejscu – stwierdził. – Przez kilka minut pragnę popatrzeć w lustrze na mój własny tak ozdobny obraz. Nie, Capestang, to już nie ty. Teraz nie rozpoznasz samego siebie. Będiesz się pozdrawiał jak jakiś książe. Książę? – dodał z uśmiechem pozbawionym goryczy, ale nie melancholii. – Biedak bez grosza przy duszy,

---

<sup>40</sup> Płowy – barwa żółta z szarawym odcieniem.

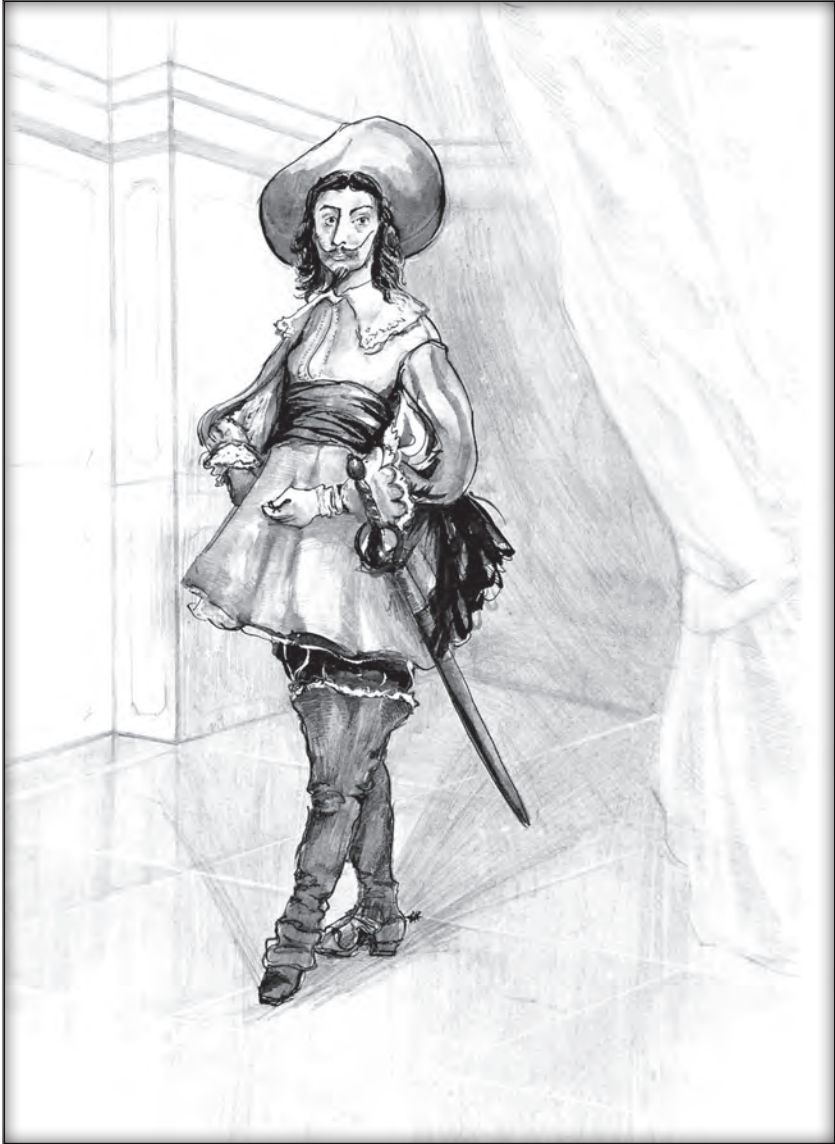
<sup>41</sup> Gnom – w folklorze europejskim duch podziemia o postaci karła.

<sup>42</sup> Hrabia Roland Damski (frank. Hruotland) – główny bohater *Pieśni o Rolandzie*, postać historyczna; podczas powrotu z wyprawy przeciwko Saracenom (778) dowodził tylną strażą wojsk frankijskich; w czasie przeprawy przez Pireneje jego oddział został napadnięty i pokonany.

<sup>43</sup> Bitwa w *wąwozie Roncevaux* – bitwa pomiędzy tylną strażą wycofujących się z Hiszpanii wojsk frankijskich króla Karola Wielkiego, dowodzonych przez hrabiego Rolanda, a góralami baskijskimi, która odbyła się 15 sierpnia 778 roku w Roncevaux; zginęła większość Franków, w tym sam Roland.

<sup>44</sup> *Chansons de geste* (ze starofrancuskiego „pieśni o czynie”, łac. *gesta*) – poezja epicka, która pojawiła się u początków literatury francuskiej; mianem tym określamy powstałe między XI a XIII wiekiem poematy rycerskie mówiące o przygodach (czynach) historycznych i legendarnych bohaterów; początkowo funkcjonowały one w przekazach ustnych, ale od około XII wieku zaczęto je zapisywać.

ubogi jak Job<sup>45</sup> z Pisma Świętego. Ponieważ straciłem sakiewkę, nie mam za co zaspokoić głodu i pragnienia, z których to uczuć jedno maltretuje żołądek, a drugie morduje gardło...



<sup>45</sup> Job (Hiob) – bohater biblijnej Księgi Hioba; bogaty i szczęśliwy, zostaje pozbawiony całego mienia przez Boga chcącego wypróbować jego pobożność; ponownie odzyskuje majątek i zdrowie.

Mówiąc to, kawaler otwierał następne drzwi. Na progu kolejnych stanął osłupiały, z oczami przepelnionymi podziwem, zdumiony, z rozszerzonymi nozdrzami. Był zdolny jedynie powtarzać:

– Ach! Ach! Co to jest?

Owo „to” było stołem zastawionym dla czterech gości, których krzesła ustawiono wokół pasztetu okrytego połączaną skórką, pięknego kapłona<sup>46</sup> otoczonego kszykami oraz innymi smacznymi wiktuałami i licznymi brzuchatymi flaszkami wydzielającymi niesamowite zapachy.

– Niewątpliwie – mówił Capestang – czekają tu na księcia mającego wyswobodzić śpiącą królowę. Cała kwestia polega na tym, by wiedzieć, czy w moich oczach mogę uchodzić za oczekiwanego księcia... Dlaczego nie, skoro mam na sobie jego strój? Mogę dodać, że w tej chwili mam królewski żołądek, jeśli królowie doświadczają królewskiego głodu. To siedzenie nie było może dla mnie przeznaczone, ale skoro jest niezajęte... Poza tym zajmę tylko jedno krzesło z czterech. Tak też zrobię z pasztetem...

Cały czas mówiąc w ten sposób, rozsiadł się wygodnie na jednym z tych pięknych krzeseł. Następnie zagłębił nóż w pasztecie, który skrupulatnie podzielił na cztery jednakowe części. Potem rzucił się na kurczę, z którego starał się wziąć nie więcej niż jedną czwartą. Na stole było osiem butelek, więc tylko dwie z nich opróżnił. Około drugiej nad ranem Capestang, dokończywszy posiłek, który jeżeli nie spadł z nieba, to pojawił się w jak najbardziej odpowiednim momencie, zaczął widzieć świat w różowych barwach i uważać, że zawód księcia mieszkającego w zaczarowanych zamkach był miłym zajęciem. Wstał z krzesła, nucąc ludową piosenkę, i zbliżył się do okazałego kominka, o który stał oparty duży, piękny rapier.

Capestang, rozmarzony winem, dalej żył marzeniem i chwycił broń.

„Dla mnie został tu postawiony, to pewnie!” – pomyślał w naiwności ducha.

Nie mogło go zdziwić znalezienie rapiera, skoro znalazł już poprzednio kompletny strój i wyśmienity obiad.

Niebawem jednak już po raz trzeci, wydając modulowany gwizd podziwu i wytrzeszczając oczy, szepnął:

– Och! A to co?

Owo „to” było sakiewką o zaokrąglonym brzuszku, której zawartość przeliczył na kominku. Zawierała dwieście pistoli. Obok woreczka leżała kartka pergaminu i kałamarz. Capestang spowaźniał. Przez jakąś minutę pozostawał w stanie zdumienia. Potem machnął ręką, jakby chciał uwolnić się od krępujących go myśli, odliczył czterdzieści pistoli i schował je do kieszeni. Następnie chwycił pióro i stojąc przed wysokim lustrem, na kominku skreślił na pergaminie następujące słowa: „Ja, Adhemar de Tremazenc, kawaler de Capestang, składam podziękowania pięknej, zaczarowanej damie, śpiącej w tym zamku i zeznaję, że pożyczyłem od niej: 1. kompletny strój kawalera; 2. doskonały obiad; 3. czterdzieści pistoli. Za kostium oddam jej dziesięć innych, jak tylko się wzbogacę; za obiad – bukiet rzadkich kwiatów; za czterdzieści pistoli dwadzieścia podwójnych pistoli; za czar tajemniczej gościnności ofiaruję jej moje życie...”

---

<sup>46</sup> *Kapłon* – wykastrowany w celu szybkiego utuczenia kogut kury domowej; obecnie zamiast kapłonów produkuje się brojlery.

Capestang podpisał dziwacznie zredagowany, lecz najzupełniej szczerzy rewers. Pozbywszy się wszelkich skrupułów względem nieznanych gospodarzy, skoro obiecywał spłacić dług, z pewnym upodobaniem przglądał się sobie w lustrze.

Nagle całym ciałem wstrząsnął dreszcz. Można było zobaczyć, że młodzieńcowi nie zbywało odwagi, ale to, co ujrzał, bez wątpienia musiało być straszne, skoro zbladł i stał z oczami przepelnionymi przerażeniem, wpatrującymi się w owe lustro, które odsyłało mu obraz sali... kobiety... całej w bieli... z siną twarzą... piersią zabarwioną na szkarłatno z powodu krwawej plamy!

Zjawa wlepiła w niego dziki, błędny wzrok, niemający w sobie niczego ludzkiego...!

Mógł to być trup, który wyszedł z grobu!

Mogło to być widmo...

A był to obraz straszny jak gorączkowe majaki, jak piekielna sugestia!

Widział ją w lustrze, nieruchomą, bladą i sztywną. Widział ją w obramowaniu drzwi, przerażającą z tą czerwoną plamą na piersiach, mogącą pojawić się z krwi. Widział ją i pozostawał skamieniały, z najeżonymi włosami. Szepnął:

– To biała dama zapowiadana przez moją gospodynię. Jestem w domu nawiedzany przez widma. Nie ma wątpliwości! No cóż, znalazłem się w pięknej sytuacji i ciekawe, czy przypomnę sobie jakąś modlitwę, której uczyła mnie matka. Diabeł tkwi w tym, że modlitwy były po łacinie...

Capestang w szczerości ducha zaczął powtarzać:

– *Pater noster... qui es... in...*<sup>47</sup> w czym? Do diabła, to głupia mania mówienia po łacinie, kiedy jest się Francuzem, a szczególnie Gaskończykiem... Starajmy przypomnieć sobie... *qui es in...* Znalazłem: *coelis*<sup>48</sup>!

Drgnął, usłyszawszy głośny śmiech.

Ale prawie natychmiast wrażenie zabobonnego strachu ustąpiło, gdyż ten śmiech białej damy wyrażał boleść – czysto ludzką boleść.

Wówczas Capestang odwrócił się i zobaczył, że kobieta, zraniona w pierś prawdopodobnie uderzeniem sztyletu, by nie upaść, przytrzymała się ściany.

Może za chwilę miała umrzeć, a jednak się śmiała!

– Madame – powiedział kawaler, idąc ku niej i obcierając pot z czoła – niech pani wybaczy mi niegodną słabość, jaka mnie ogarnęła przy pani pojawieniu się, że zamiast rzucić się i podtrzymać panią, pomóc jej...

Jednocześnie wziął nieznajomą w ramiona i posadził ją w fotelu.

– Czy pani jest poważnie ranna? – zapytał. – Czy przed chwilą wzywała pani pomocy? Niestety, widzę, że przybyłem za późno...! Powiedz... w czym mogę...

– Karol odjechał – szepnęła nieznajoma. – Żegnajcie, moja miłości i moje szczęście!

Młodzieniec trwał w zdumieniu. Teraz zauważył, że zachwycające niebieskie oczy damy miały nieprzytomny wyraz. Spostrzegł, że jej włosy były koloru białego srebra, a przecież jej twarz pozostała niezwykle młoda, jakby miała zaledwie trzydzieści lat.

– I ona! – kontynuowała nieznajoma, załamując z rozpaczony ręce. – Zabrano mi ją. Biegnij, och, biegnij, kimkolwiek jesteś! Uratuj ją...!

– Kogo? – zapytał Capestang, mocno poruszony. – Kogo trzeba ratować? Chętnie, może pani mną dysponować... Kim jesteś? Co się tu stało?

<sup>47</sup> *Pater noster... qui es... in...* (łac.) – Ojczy nasz, który jesteś w...

<sup>48</sup> *Coelis* – powinien powiedzieć: *caelis* [niebie].

Biała dama nagle jakby zapomniała o całej swej rozpacz.

– Kim jestem? – odparła dama słodkim i śpiewnym głosem, przysłoniętym niewypowiedzianym smutkiem. – Niewątpliwie kimś bardzo skromnym, gdyż moje imię to nazwa skromnego leśnego kwiatka. Brzmi ono Violetta... Nie zna pan historii Violetty, biednego małego fiołka, kiedyś tak kochanego... Och, jak dawno temu! Kochana przez tego, którego uwielbiała. Wiesz, że był królewskim synem? Ulotna miłość...! Działo się to za panowania naszego najjaśniejszego pana, Henryka III<sup>49</sup>, wuja mego ulubieńca... Jakże dalekie są te czasy bohaterskich czynów, wspaniałej młodości, promiennej miłości, podobnej do złotopurpurowej jutrzenki, jaśniejącej na czystym lazurze nieba... To wszystko się skończyło! Karol mnie już nie kocha... niebo się zachmurzyło... skromny fiołek złamany... Biedny mały kwiatku, teraz zwiedniesz!

Mówiła o tych rzeczach z wielkim smutkiem i tak łagodnym tonem, że kawaler de Capestang miał ochotę zapłakać.

– Pani – powiedział, kłaniając się z szacunkiem przed tym żyjącym nieszczęściem – zgaduję tak ciężką boleść w twoim życiu, iż wszelkie wyrazy pociechy od nieznanego, jakim jestem w twoich oczach, byłyby daremne, ale...

– Cicho! – przerwała kobieta nazywająca siebie Violettą.

– Przebacz, pani...

– Czy to karzeł? – szepnęła, cała drżąc. – Ten okrutny karzeł, czarnoksiężnik z Orleanu? Czy to on otwiera okno? Nie, nie, tym razem to nie on! Ale kto?

Mówiąc to, poderwała się z siedzenia, nasłuchiwała, straszny niepokój zmienił wyraz jej twarzy. Wyjąkała:

– Zamilcz, moja córko...! Nie ośmielał się przyjść tutaj, by cię szukać, by wyrwać cię z objęć matki! Och, nikczemnicy! Idą już po schodach... Ratunku! Ratunku! Karolu, Karolu! Zamordują twoją córkę! Nasze dziecko!

– Madame... Wybacz, ale niczego się nie bój...

Biała dama głośno krzyknęła krzykiem umierającego, jednym z tych przerażających lamentów, jakie Capestang usłyszał z okna oberży, i zaczęła uciekać.

Kawaler pobiegł za nią, dopędził ją na dole schodów i tam stanął jak wryty, wstrzymany przez ten dziwny i żałosny wybuch śmiechu podobnie jak przed chwilą.

Nieznanoma – Violetta, jak sama się nazwała – zatrzymała się, wyciągnęła ramiona, zmarszczyła brwi i wycharczała:

– Co tu robisz...? Zabraniam panu iść za mną! Nikomu nie wolno wchodzić do mojej kryjówki! Nikomu, słyszysz?! Och, jeśli jesteś taki jak wskazuje twoje młode oblicze, jeśli pod kaftanem bije serce szlachcica, odejdz...

– Ależ pani jest ranna... Przynajmniej pozwól mi...

– Pańskie słowo – przerwała Violetta. – Chcę, byś dał słowo, że nie pójdziesz za mną, że nigdy tu nie wejdiesz, chyba że cię zawołam!

– Madame... Przez litość dla samej siebie...

---

<sup>49</sup> Henryk Walezy (fr. Henri de Valois, właściwie Edward Aleksander, 1551-1589) – pierwszy elekcyjny król Polski i wielki książę litewski w latach 1573-1574, od 1574 roku król Francji jako Henryk III; wcześniej, do 1574 roku jako członek domu francuskiego: książę d'Angoulême (od 1551), książę Orleanu (od 1573) i książę Andegawenii (od 1566); ostatni władca Francji z dynastii Walezjusów.

– Pańskie słowo! – powtórzyła biała dama z gorączkową niecierpliwością. – Jest pan człowiekiem honorowym? Nosisz przy boku szpadę? Och, czy dzisiejsi młodzi ludzie zapomnieli o starych rycerskich zasadach? Pańskie słowo, powtarzam!

Capestang skłonił się głęboko i odpowiedział:

– Ma pani moje słowo. Kimkolwiek pani jest, jak dziwaczne są okoliczności, mimo pani rany, mimo chaosu panującego w pani umyśle, biedna kobieto, nie pozwoliłbym narzucić sobie podobnego zobowiązania, gdybym nie był pewny, że mnie pani zdoła zrozumieć. Tak – rzekł z dumą – mimo wszystko, nie będzie powiedziane, że jakaś dama na próżno odwoływała się do honoru jednego z Capestangów.

– Dobrze – odparła majestatycznym tonem Violetta. – Przywołam pana, kiedy będzie pan potrzebny.

Młodzieniec chciał zapytać, w jaki sposób i kiedy mogłaby to uczynić, skoro go nie znała, skoro nie wiedziała, gdzie zamierzał się udać.

Lecz biała dama już powoli wchodziła na schody, nie oglądając się za siebie, i wkrótce zniknęła, skryła się w mroku korytarza, cicha jak senne zjawisko.

Capestang z bardzo rozgorączkowanym umysłem wybiegł na zewnątrz budynku, przeszedł przez park, pobiegł do oberży „Pod Sroką Złodziejką” i z całych sił zaczął dobijać się do drzwi.





**Chcesz przeczytać dalszą część?**  
***Zapraszamy do księgarni!***